

4 Rozdanie znaczoną talią 5 Starachowice – umierające miasto 6 Jan Tomaszewski
wygłupia się 7 Raj dla złodziei 10 Bolszewickie słowo honoru 16 „Grom” – powieść

Łódź Odgłosy

Nr 18 (1703)

Rok I (XXXIV)

22 września 1991 r.

Cena 3000 zł

Wróżebny krąg Tarota (1)

Świadomość nieuchronnego upływu czasu oraz konieczności śmierci jest cechą głęboko ludzką; cechą, która najdobitniej wyróżnia człowieka spośród innych, zamieszkujących kulę ziemską istot. „Tym, kim byłeś wczoraj, nie jesteś dzisiaj, kim jesteś dziś, nie będziesz jutro” – powiedział

Lao Tsy, założyciel taoizmu, dając do zrozumienia swym uczniom, iż nie jest stałe, wszystko ulega przemianie. Prawo to najboleśniej dotyka człowieka, nie tylko dlatego, że mu podlega; przede wszystkim dlatego, że wie o tym i mocą najrozmaitszych zabiegów (magicznych, wróżebnych) pragnie przewi-

dzieć przyszłość, ażeby się przed nią zabezpieczyć.

W przeciągu tysięcy lat swego istnienia człowiek wymyślił dziesiątki i setki systemów oraz sztuk wieszczbiarskich. W Europie największą sławę zyskały: astrologia i chiromancja; czytanie „losów”, z gwiazd i z linii dłoni. Nie mniej

popularna jest kartomancja, która – począwszy od XVIII wieku – zdobywa sobie coraz większe uznanie, stając się domeną Cyganek oraz zawodowych „kabalarek”. Większość z nich uprawia zwulgaryzowaną kartomancję, używając zwykłych kart do gry. Niektóre jednak stosują specjalny rodzaj kart ozdobionych wizerunkami słońca, księżyca, gwiazd, śmierci itp. Kartami tymi są karty Tarot; jeden z najstarszych, a zarazem tajemniczych systemów wróżebnych, mylnie określanych w Polsce mianem „taroka”.

Tarot to talia kart podzielona na dwie części. Część pierwsza, zwana major arkanami lub „wielkimi wtajemniczeniami” składa się z 22 kart numerowanych od 0 do 21. Każda karta nosi nazwę „arkanu” i posiada własne, specyficzne znaczenia wróżebne i ezoteryczne. Część druga, czyli minor arkana („mniejsze wtajemniczenia”) to 56 kart podzielonych na cztery kolory oznakowane symbolami buław (kijów), kielichów (pucharów), mieczy oraz denarów (monet, pentakli). Każdy kolor, zwany w średniowieczu „dworem” stanowi zbiór 14 kart: asa, błotek od 10 do 2, giermka, rycerza, królowej i króla. Tak, jak major arkanów, wtajemniczenia mniejsze są nosicielami wróżebnych i ezoteryczno-magicznych znaczeń. Odczytywanie ich i interpretacja jest sztuką trudną, wymagającą praktyki, doświadczenia, a przede wszystkim (jeśli nie liczyć naturalnego daru oraz intuicji) znajomości sekretów skrytych za prymitywnymi nieraz, wyobrażeniami geometrycznych figur i religijnych alegorii.

Geneza kart Tarota nie jest znana. Wielu wywodzi owe karty z Indii, skąd jakoby mieli przynieść je Cyganie. Inni mniemają, iż Tarot pochodzi ze starożytnego Egiptu, gdzie był – jak pisał osiemnastowieczny mag i okultysta Court de Gebelin – „księga ksiąg tajemnej wiedzy egipskich kapłanów i magów”. Jedno jest pewne. Karty do gry zawojuowały Europę na przełomie XIII i XIV wieku, zaś pierwsza, pewna, wzmianka o Tarocie (nazywanym ówczesnie kartami do gry w triumphi lub w ronfe) pojawia się z początkiem XV wieku we Włoszech. Tarot ma już wtedy ukształtowaną formę i strukturę, które przetrwały do dzisiaj. Malowane ręcznie karty Tarota służyły wtenczas do hazardowej gry, a także do wróżenia oraz do pewnych zabiegów magicznych. W wieku XVI i XVII Tarot podbił Francję, gdzie narodziła się jego najbardziej popularna odmiana, zwana tarotem marsylskim, czerpiąca

Cd. str. 3



Kolegom z Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego
z okazji Jubileuszu 35-lecia Ich firmy
serdeczne gratulacje składa
zespół „Odgłosów”

U nas kupisz prawie wszystko!
HURTOWNIA ARTYKUŁÓW ELEKTRYCZNYCH
JUST-AMICO
Łódź,
ul. Duńska 1,
tel. 52-12-02

„DAMIS”
bezpośredni importer – poleca:
ARTYKUŁY I ZABAWKI DO
ROBIENIA ŻARTÓW, m.in.
• znikające atramenty
• sztuczne kupy
• brudzące mydła
• tańczące puszk
• I OKOŁO 180 INNYCH
ATRAKCYJNYCH ZABAWEK
TEGO TYPU
Łódź,
tel. 56-01-88

Koneserom dobrej kuchni i smakoszom
Restauracja
– **Cocktail-
Bar**
LYON
poleca dania kuchni francuskiej. Aby zaspokoić życzenia naszych Konsumentów posiadamy duży wybór win francuskich.
Lokal nasz mieści się przy ulicy
Piotrkowskiej 103/105
i czynny jest codziennie w godzinach 8.00-24.00.
Pod numerem 32-37-77 przyjmujemy telefoniczną rezerwację miejsc. Na zamówienie organizujemy kameralne przyjęcia i wystawne bankiety. Gwarantujemy obsługę kelnerską na najwyższym poziomie.
**BON APPETIT I DUŻO MIŁYCH
WRAŻEŃ ŻYCZY PAŃSTWU**
Dyrekcja



● Marszałek Sejmu RP – Mikołaj Kozakiewicz otwierając kolejne posiedzenie sejmowe zaproteściwał przeciw wypowiedzi premiera Jana Krzysztofa Bieleckiego, który podczas niedawnej wizyty w USA oskarżył Sejm RP o blokowanie przemian w Polsce. Zdaniem Mikołaja Kozakiewicza, który wypowiadał się w imieniu Konwentu Seniorów, oskarżenie to jest bez pokrycia.

● Posłanka Józefa Hannelowa w opublikowanym w „Tygodniku Powszechnym” artykule zamieszcza następujące zdanie: „Nieodpowiedzialne są zgodnym chórem wykonywane ataki na Sejm jako jedynego sprawcę wszelkiego zła. Nie tylko dlatego, że Sejm ten, taki jaki jest, musi jednak parę ważnych rzeczy załatwić (...). Ale dobijanie prestiżu Sejmu w opinii publicznej prowadzi do podważania przekonania, że demokracja parlamentarna w ogóle cokolwiek jest warta. Jak to rzutować może na wybory i przyszłe funkcjonowanie parlamentu, nie trzeba przekonywać”. Nie dodać!

● Episkopat Polski opublikował swoje stanowisko w sprawie wyborów. W stanowisku tym stwierdza się: „Pragniemy zwrócić uwagę, że nie biorąc udziału w wyborach, wpływamy również na ich wynik i to nierzadko w nie zamierzonym przez nas kierunku”. Episkopat Polski zobowiązał duszpasterzy, by „w kościołach i kaplicach nie prowadzili, ani nie pozwalali prowadzić kampanii wyborczej i agitacji na rzecz kogokolwiek”. Jednocześnie Episkopat Polski stwierdza: „Nie wolno nam jednak nie uwrażliwiać sumień na zasady chrześcijańskie, którym winni się kierować wierzący, w sprawach tak podstawowych jak wybory, decydujące o przyszłym kształcie naszego państwa”.

● Nadzwyczajna komisja powołana przez Sejm RP rozpatrzyła rządowy projekt o nadzwyczajnych uprawnieniach rządu, który miałby prawo wydawać dekretów z mocą ustawy. Rząd proponował 25 problemów obejmujących wiele zagadnień z różnych dziedzin życia, które miałyby być regulowane przy pomocy nadzwyczajnych uprawnień. Sejmowa komisja zgodziła się na 14 takich grup problemów. Sejm RP odrzucił przedstawiony mu projekt.

● Wydaje się, że wielu polityków jest niechętnie ustosunkowanych do transmisji telewizyjnych z obrad Sejmu RP. Telewizja jakby przygotowuje się do likwidacji tych transmisji. Przeprowadzono badania opinii publicznej. Systematycznie ogląda obrady Sejmu RP 7 procent widzów. 39 procent badanych uznało, że należy nadawać obfite fragmenty z obrad, 38 procent, że należy w ogóle zrezygnować z tych transmisji, 28 procent wypowiedziało się za tym, aby informować o pracy Sejmu RP tylko w dziennikach telewizyjnych. Natomiast 12 procent badanych jest za utrzymaniem pełnych transmisji, tak, jak to się dzieje obecnie. Co zrobi telewizja? Zobaczymy. W każdym razie opozycja zawsze walczy o wolność wypowiedzi, ale gdy obejmuje władzę jawność życia politycznego zaczyna jej przeszkadzać. Takie już są prawa, które kształtują nasze życie polityczne.

● Były organ KW PZPR – jeszcze sprzed 1975 roku, bo później było to tylko pismo PZPR – „Gazeta Robotnicza” we Wrocławiu Komisja Likwidacyjna przekazała spółdzielni dziennikarskiej, która miała zawrzeć spółkę z wojewodą wrocławskim. W tym czasie wojewodą wrocławskim został Mirosław Jasłowski – działacz szczebla centralnego Porozumienia Centrum. Zdaniem redaktora naczelnego „GR” – Andrzeja Bułata zawarcie spółki z wojewodą stało się niemożliwe. Spółdzielnia oraz spółka wrocławska „Keram” stanęły do przetargu o „GR”. Ich oferty zostały odrzucone. Wojewoda wrocławski założył jednoosobową spółkę skarbu państwa i mianował dyrektorem oraz redaktorem naczelnym „GR” Józefa Orla. Józef Orzeł miał być – jak podaje „Kurier Polski” – redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”, ale sprzeciwił się temu Marian Krzaklewski. Nie został też zastępcą redaktora „Wiadomości” Lecha Dymarskiego, bo ten musiał szybko „ewakuować się” z szefostwa telewizyjnej informacji. Teraz mianowany został redaktorem „Gazety Robotniczej”. Józef Orzeł jest działaczem w Porozumieniu Centrum i kandyduje na posła z ramienia tego Porozumienia. Zdaniem komentatora „KP” jeszcze się tak nie zdarzyło, aby kandydat na posła otrzymał w prezencie gazetę. Sprawę przynależności „GR” ma rozstrzygnąć sąd.

● Z Sieradza donoszą, że w tamtejszym tygodniku „Goniec” stanowisko redaktora naczelnego objął Karol Badziak. W ten sposób spełniłyby się marzenia tego ambitnego dziennikarza.

● Spór o nadzwyczajne uprawnienia dla rządu ZJM tak skomentował:

Nasza wykonawcza władza,
Chcę wzmocnienia siebie zdradza.
Kiedy Sejm jej przyzna rację,
Będzie dłuższe miał wakacje.

B. M.

Odgłosy

Tygodnik „Odgłosy”
Redaktor naczelny Mirosław Kulis
Wydawca: „Odgłosy-Press” S.C.
90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5
36-52-44
Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń.
Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

O d czasu wyborów prezydenckich minęło czasu nie tak wiele, ale przygniatani lawinami wydarzeń bieżących (to, co jeszcze nie tak dawno dotyczyło się w historii całymi latami, teraz rozgrywa się w ciągu kilku dni!) możemy nie pamiętać, że hasło „siła spokoju” towarzyszyło kampanii wyborczej Tadeusza Mazowieckiego. Przypominam je teraz, na kilka tygodni przed wyborami parlamentarnymi, nie bez przyczyny.

Było to hasło znakomite i jako program, i jako pomysł perswazyjno-retoryczny: skonstruowane jakby oksymoronicznie (łączyło w sobie odległe, a nawet przeciwstawne znaczenia) stanowiło kwintesencję dążeń i oczekiwań społecznych. Ale na tamten czas bodaj sformułowane przedwcześnie. Ludzie, pełni nadziei zrodzonych przez ustrojową rewolucję, z niecierpliwością myśleli o dalszym ciągu, sądząc, że ów przewrót, który dokonał się z dnia na dzień, może przynieść równie błyskawiczne efekty. Dlatego przyspieszając z różnych kręgów, lepiej wyczuwając społeczne nastroje oraz obiecując gruszki na wierzbie, łatwo mogli przysłonić hasło Mazowieckiego i tamte wybory wygrać. Dopiero miesiące tych tzw. przyspieszeń, które mamy za sobą, miesiące sporów, wojny na górze, oświadczeń, napadów, gwałtów politycznych i zwyczajnych pomówień (nie mówię już o stanie gospodarczym państwa, bo jaki jest każdy odczuwa na własnej skórze) przywracają tamtemu hasłu wartość.

Docenia się je dopiero teraz, gdy potrzebne są, zarówno władzy jak i wszystkim mieszkańcom tego kraju, w miarę stabilna wizja przyszłości, społeczna pewność co do losów każdego z nas, instytucji i przedsiębiorstw, w których pracujemy, bezpieczeństwo i ochrona dla tych sfer życia narodu, jakie decydują o jego trwaniu i rozwoju. Jednym słowem właśnie „siła spokoju”.

P ani minister Henryka Bochniarz na spotkaniu w Łodzi zapowiedział, że jej resort nie będzie się beczynnie przyglądał upadkowi całego przemysłu państwowego. Wątpię, aby oznaczało to odejście od dotychczasowej doktryny dzikiego liberalizmu, choć najśmielej będą chyba mogli liczyć na jakąś pomoc. Tylko czy słabe kobiece rączki nie zmęczą się za szybko podczas tego zabiegu reanimacyjnego? Pani minister będzie bowiem w rządzie osamotniona.

Kliniczna zapaść przemysłu łódzkiego pogłębia się z każdym dniem. Rozszerza się też obszar nędzy. Żebrzące dzieci stają się powoli stałym elementem pejzażu społecznego na łódzkiej ulicy. Na szczęście nie mają one pokory dziatwy rumuńskiej, są niekiedy wręcz agresywne i mimo wszystko dumne. Nie ulega wątpliwości, że to raczej my, dorośli, powinniśmy się wstydić. Toteż nie zdziwiło mnie tak bardzo, gdy w telewizorze zobaczyłem Zbigniewa Bujała przepraszającego za „Solidarność”.

W Łodzi gościł ostatnio także Georgij Szczukin, radca handlowy ZSRR w Polsce. Był świadkiem rozmów, jakie wicepremier Balcerowicz prowadził w Moskwie z władzami centralnymi ZSRR i rządem Rosji. Radca Szczukin, pełen uznania dla polskiego

Szef łódzkiej prokuratury poczuł się wstrząśnięty.

„Na liście najbardziej nie lubianych osób w łódzkiej telewizji zaraz za prezesem Markiewiczem znajduje się Małgorzata Ziátkiewicz”.

W czasie, gdy powyższa opinia ukazała się w „Gazecie Łódzkiej” (z 24 sierpnia) Małgorzata Ziátkiewicz nie była szerzej znana poza Łodzią, gdzie zdobywała „dziennikarskie ostrogi”. Dziś znana jest w całym kraju jako bohaterka pierwszego skandalu z dziennikarstwem w roli głównej, który nie jest skandalem towarzyskim, lecz znacznie poważniejszym. Dlatego warto przypomnieć, jakie były – wedle Piotra Wesołowskiego, autora publikacji „Prezes i inni” – początki jej dziennikarskiej kariery:

„W lutym tego roku Markiewicz wymyślił, aby telewizja zrobiła film o jego przyjacielu pośle ZChN Stefanie Niesiołowskim. (...) Problemem oprócz politycznych konotacji był także lot helikopterem do Zakopanego. Kilka dni wcześniej tragedię przeżyła ekipa programu 997, gdy śmigłowiec z pasażerami runął na ziemię. Nikt w Łodzi nie chciał polecić śmigłowcem. Zgłosiła się na ochotnika Małgorzata Ziátkiewicz. I zrobiła – według relacji tych, którzy już reportaży widzieli – film na klęczkach, czyniąc postowi wielką krzywdę.”

Gorliwość została jednak doceniona, i młoda dziennikarka szybko znalazła się w Warszawie, ściągając tam przez prezesa:

„Ziátkiewicz – osoba bardzo zdolna, choć co tu kryć, o nietelewizyjnej urodzie – pojawiła się już na konferencjach prasowych w Belwederze. I jak widać w stolicy nie nauczyła się oddzielać komentarza od informacji. Zadając pytanie prezydentowi Wałęsie powiedziała: – Błąd popełnili ci, którzy od pana odeszli”.

Wkrótce Małgorzata Ziátkiewicz znów potrafiła zaskoczyć widzów. Nie tyle może zwykłych „oglądaczy”, co organa sprawiedliwości. Opisywał to Krzysztof Spychalski w artykule „Przeciek” (Przeгляд Tygodniowy nr 37):

„W poniedziałek 2 września, szef łódzkiej prokuratury poczuł się wstrząśnięty. W głównym wydaniu dziennika telewizyjnego zapowiedziano wieczorną prezentację reportażu łódzkiej dziennikarki o przemycie spirytusu do Polski. Sindlewski mówi, że zastygł w bezru-

Siła spokoju

Wywracano na nice ten program, przekręcano bez krztyny dobrej woli treści „grubej kreski” i „państwa prawa” nawołując do polowań na przeszłe upiory, odprawiając egzekwie nad próchnym historii, odgrzewając skwaśniałe zupki ideologiczne sprzed półwiecza. Wilki straszły Czerwonym Kapturkiem przywołując na pomoc, trzeba czy nie, księżda z kropidłem. Ile zatem, tak potrzebnej dla konstruowania nowych budowli energii skierowano na burzenie pomników, malowanie nowych tabliczek, fundowanie obelisków dla Kaszanki Marszałka oraz dla innych równie bezsensownych działań.

Teraz, nie bez zdumienia, słucham Krzysztofa Króla, który w studiu wyborczym TV na pytanie o dekomunizację całkiem zdziwiony odpowiada: „dekomunizacja? Ach to nie my, to jest w programie Porozumienia Centrum. Nie stosujemy odpowiedzialności zbiorowej. Nam chodzi tylko o zmianę instytucji i praw, które już się nie sprawdzają w nowej rzeczywistości”. Pod takim dictum podpisze się już każdy. Nawet inkryminowane wyżej Porozumienie Centrum rezygnuje z hałaśliwej buńczuczności (tu i ówdzie jego reprezentanci zawierają układy o dzentelmeńskich grze wyborczej z partiami, które jeszcze przed tygodniem nazywano źródłem wszelkiego zła), zjawia transparenty z wykrzyknikami i przybiera minę z troskanego o przyszłość gospodarza.

Czyli „siła spokoju” jednak! Bo w tym hasle zawiera się także kompetencja, uczciwość intencji, odpowiedzialność i zwyczajny zdrowy

rozsądek. Czy spośród ekipy rządowej i partyjnej Tadeusza Mazowieckiego (Unii Demokratycznej) ktoś musiał się tłumaczyć z trwonienia społecznych pieniędzy? Musiał dawać wykrętne odpowiedzi na temat przynależności do spółek, których majątek przyrastał w niespodziewany ekonomiczny sposób? Czy Tadeusz Mazowiecki musiał mieć przybocznych, którzy co drugi dzień reinpretowaliby jego wypowiedzi? Czy jego ministrowie, choć niektórzy z dawnej nomenklatury, pisali protesty na samych sobie, albo wzywali do demonstracji na rzecz ustaw, których nie zdążyli byli jeszcze opracować? Jeździli na skargę na Balcerowicza do Waszyngtonu? Rozdawali się na członków rządu (jednego dnia) i na reprezentantów partii (dnia następnego), która rząd chce obalić? Takich pytań można by zadać mnóstwo, ale ograniczę się do jeszcze jednego: czy któryś z ministrów obecnego rządu (przykładów oszczędzę) może liczyć w przyszłości na społeczną estymę, którą cieszy się do dziś Jacek Kuroń, czy komus demonstanci będą skandować „wróć!”. Pytanie wyłącznie retoryczne. Ponieważ ci demonstujący zrozumieli, że z cotygodniowych spotkań z tym właśnie ministrem, czerpali spokój, który im dawał siłę na przetrwanie następnego kwartału.

A mimo to, wciąż jeszcze słyszy się o katolowicy, udeci i innych przezręczakach. Czy takie chrzaniecie ci demonstujący zrozumieli, że z cotygodniowych spotkań z tym właśnie ministrem, czerpali spokój, który im dawał siłę na przetrwanie następnego kwartału.

Z nadzieją patrzę więc na dopisane do „sily spokoju” słowa „mądrzej” i „z sercem”.

Grzegorz Gazda

Coś drgnęło?

poskromicieli inflacji, zapowiedział nowe podejście do wymiany towarowej z naszym krajem.

To nowe nie jest zresztą wcale nowe, choć sprawdzone. Z punktu widzenia gospodarczego oznacza nawet cofnięcie się w zamierzchłe czasy pierwocin kupiectwa, kiedy nie znano jeszcze pieniądza i wymieniano na przykład sól na skórki wiewiórek. Na tym właśnie polega barter czyli wymiana towar za towar. Nie jestem ekonomistą, ale czy przypadkiem ów termin nie pochodzi od niemieckiego słowa *die Barter*, które można przetłumaczyć jako obosieczny topór. A ten się nadaje do walenia z obu stron.

Pani minister z wielkiego Kraju Rad nie był zresztą zbyt przygotowany do spotkania: mówił, dość ogólnikowo, o zmianie przepisów i dalszej ich liberalizacji odsyłając zainteresowanych do swego biura po materiały. Można to nawet zrozumieć – zasady są rzeczywiście nowe, a wydajność kserografów w przedstawicielstwie radzieckim dość ograniczona. Liczy się gest.

Znacznie surowsze kryteria trzeba zastosować do tubylców. Miła skądinąd pani reprezentująca Biuro Inwestycji Zagranicznych, Prywatyzacji i Promocji Gospodarczej, która złożyła na ręce dostojnego gościa folderek o gotowości do współpracy przedsiębiorstw regionu łódzkiego (w języku angielskim i niemieckim), nie wystawiła najlepszego świadectwa swemu urzędowi.

Przynajmniej od czasów Wokulskiego wiadomo, że Łódź może się rozwijać dzięki handlowi z Rosją. Ale choć niektórzy miejscy urzędnicy nie czytali „Lalki” Prusa, idę o zakład, że mimo wszystko wiedzą jakim językiem mówią mieszkańcy Moskwy czy Petersburga. Awersja do rosyjskiego, którą demonstrowali liczne urzędy w Rzeczypospolitej, nie jest równoznaczna, mam nadzieję, z tym, że w swoich planach strategicznych przestały w ogóle uwzględniać handel ze Wschodem.

Nie wiem czy barter a nawet stosowanie w wymianie towarowej dolara clearingowego uratuje upadający łódzki przemysł. Mam na myśli mołochy, stanowiące do niedawna wizytówkę socjalistycznych przedsiębiorstw. Mali zapewne się pożywią. Dla ludzi z głową jest to jakaś szansa.

Coś drgnęło, ale przed nami wciąż długa i niebezpieczna droga.

Konrad Frejdllich



chu. Bał się, że za godzinę, dwie najtajniejsze informacje toczącego się od dwóch tygodni śledztwa staną się publiczną tajemnicą (...)

Kiedy pod koniec materiału red. Ziátkiewicz informowała widzów, że łódzka prokuratura, tamtejszy Urząd Skarbowy oraz NIK nie chciały jej nic o sprawie powiedzieć, telewizywie jeszcze raz mogli się przekonać o tym, co wiadome było od dawna, że granica jest niebezpieczna! Będąc na wolności organizatorzy przetrutu mogli się natomiast zapoznać z aktualnym stanem wiedzy organów ścigania (...) a prokurator Sindlewski zrozumiał dwie sprawy jednocześnie. Śledztwo nie ma już większych szans powodzenia, to po pierwsze, a po drugie – w strukturach podległych ministrom Chruszowskemu i Majewskiemu jest przeciek (...)

Skąd ta pewność, że w ogóle miał miejsce jakiś przeciek informacji?

Prezentując materiał na antenie, red. Ziátkiewicz – jak twierdzi prokurator – posłużyła się „żywym tekstem” tajnych materiałów operacyjnych. Tych, którymi dysponowała jedynie policja.

Prokurator Sindlewski nazwał to wydarzenie „skandalem”. Krzysztof Spychalski zdaje się skłaniać ku jego opinii, wskazując na to, że – po pierwsze – ścigani przestępcy ujdą teraz najprawdopodobniej wymiarowi sprawiedliwości, a po drugie – ale to już raczej domniemanie – że dziennikarką posłużono się celowo, aby skompromitować prokuratora. Na tym tle rozpatrywany jest problem ogólniejszy: czy

dziennikarz może ujawniać informacje, które szkodzą śledztwu?

„Podemski, ciesząc się niekwestionowanym autorytetem w dziedzinie prawa powiedział w telewizji, że prokurator ma wprawdzie prawo zakazać dziennikarzowi publikowania informacji, ale tylko tych, które mu sam przekazał. – W tym wypadku – powiedział Stanisław Podemski – jestem za koleżanką z Łodzi”

Szef łódzkiej prokuratury jest przeciwnego zdania:

„W podręcznej biblioteczce Eugeniusza Sindlewskiego na honorowym miejscu stoi kodeks karny z komentarzem prof. Siewierskiego. W komentarzu do artykułu 255 kk w punkcie 6 napisano tam: „Źródło wiadomości jest obojętne dla odpowiedzialności karnej sprawcy. Sprawca odpowiada nie tylko wówczas, gdy wiadomości zostały zacierpnięte bezpośrednio lub pośrednio z akt dochodzenia lub śledztwa (...), lecz także wówczas, gdy w drodze własnych posprzeżeń i zabiegów uzyskał opublikowane przez siebie wiadomości, a wiadomości te zbierają się z wynikami dochodzenia lub śledztwa, o czym sprawca wie”. Na półce obok stoi kodeks z 1932 roku i tam problem ten potraktowany został identycznie”.

Kto ma w tym ciekawym sporze rację? Sądymy, że jest to pytanie nie tylko dla dziennikarzy. Niezależnie od odpowiedzi, Małgorzata Ziátkiewicz życzymy jednak mniej kontrowersyjnych sukcesów zawodowych...

AG

Wróżebny krąg Tarota

Cd. ze str. 1

inspirację z ikonografii alchemicznej i hermetycznej. W wieku XVIII wspomniany już Court de Gebelin odkrywa w Tarocie egipską okultystyczną wiedzę, uznając w nim „biblię ezoteryczną”. Z początkiem wieku XIX Tarot przestaje służyć do gry. Funkcję tę spełnia tarok – talia kart wzorowana na Tarocie (także podzielona na 22 atuty i 4 kolory), lecz nie mająca nic wspólnego z wróżbiarstwem. W tymże samym wieku Tarotem zajmują się najsłynniejsi okultyści i magowie Zachodu: Eliphas



Levi Zahed, Papus, Wirth, Guaita, i wielu innych. Powstają najrozmaitsze odmiany ikonograficzne Tarota, nawiązujące do symboliki różnych religii i nurtów ezoterycznych. Tarot staje się, obok astrologii i chiromancji, trzecią, o ile nie pierwszą „mancją” – sztuką przepowiadania przyszłości, zachowując przy tym to, co spowodowało, iż już w średniowieczu nazwano Tarota „biblią szatana” – sekretnością i tajemnicą wiedzy o człowieku i otaczającym go kosmosie. Nie darmo wszak Eliphas Levi Zahed powiedział, że gdyby zamknięto go na 25 lat do więzienia, chciałby mieć ze sobą Tarot.

ta: księgę wróżb i wiedzy, którą można czytać bez końca.

W latach dwudziestych i trzydziestych naszego stulecia Tarot był popularny głównie w kręgach okultystów oraz ludzi interesujących się ezoteryczną wiedzą. Tak było w krajach Europy Zachodniej, tak również było w przedwojennej Polsce. Po wojnie Tarot wyszedł z „okultystycznych opłotków”. Zyskał znaczną popularność dzięki literaturze i najróżniejszego rodzaju publikacjom zalewającym księgarskie półki. Europa Zachodnia zachłystnęła się Tarotem tak, jak zachłystnęła się jogą, buddyzmem zen, taoizmem, tantrą. Jedynie w krajach leżących na wschód od Łaby Tarot pozostał tematem tabu. Dopiero ostatnimi laty zaczęto o nim pisać. Uczynili to radzieccy z Bydgoszczy, Beata Pawecka, Agata Maciejewska w końcu lat osiemdziesiątych. O dziejach Tarota pisał Rafał T. Prinke. Talię kart Tarota wydała Aleksandra Jaśniak. Rok wcześniej ukazała się moja książka „Tarot”. Karty, które wróżą”, z talią kart do wycięcia, oraz – kilka miesięcy temu – druga, napisana przeze mnie książka o Tarocie, „Biblia Szatana” traktująca o historii słynnych talii kart Tarota. Już wkrótce będzie można kupić polskie tłumaczenie słynnej książki A. Douglasa „Tarot. Pochodzenie, znaczenie i sposoby użycia kart”, a także talię kart Tarota namalowaną na zamówienie Douglasa przez D. Sheridan. Ci, których intrzyguje Tarot będą mogli również kupić jedną z dwóch talii tych kart sygnowanych i opracowanych przeze mnie: „Tarota Magów” i „Tarota Popularnego”. Już niedługo Tarot przestanie być tajemniczym dlatego, że go w Polsce nie ma. Będzie sekretne tajemnicą prawdziwą: sekretnością znaczeń arkanów i sposobów ich interpretowania.

Zainteresowanie Tarotem jest w Polsce ogromne. Bo też żyjemy w trudnych czasach i usilnie pragniemy poznać przyszłość. Ci, którzy posiadają talię Tarota lub są Tarotem zainteresowani natrafiają przy wróżeniu, czy to sobie, czy komuś innemu, na przeróżne trudności. Wielu pisało do mnie, pytając o rozmaite sprawy, inni samodzielnie szukali rozwiązań. Chcąc im pomóc skorzystałem z propozycji redakcji „Odgłosów”, tworząc „tarotowy kącik”, w którym prezentowane będą różnorakie sposoby interpretacji tych kart. Tarot bowiem jest wspaniałym doradcą życiowym. Pozwala zrozumieć siebie i otaczających nas ludzi. Skrywa tajemnice, lecz ujawnia też klucz do owych tajemnic. Mówi i przestrzega. Nauczmy się odczytywać jego przesłanie.

Jan Witold Suliga

UWAGI SCEPTYKA



Kiedyś, jeszcze w zupełnie innym i niesłusznym stroju, Czesław Niemen z dużą ekspresją śpiewał, że „dziwny jest ten świat”. Rzeczywiście, wszystko wskazuje na to, że tak jest w istocie, ale w dziwnym świecie bywają kraje jeszcze dziwniejsze niż można to sobie wyobrazić. Jeden z nich rozciąga się między Odrą i Bugiem.

W tym to kraju, w parlamencie szef rządu, który swoją polityką gospodarczą zafundował społeczeństwu masowe bezrobocie i 24 biliony złotych deficytu w budżecie państwa, gdy padły ze strony posłów słowa krytyki, a nawet wniosek o dymisję gabinetu, obrzucił się niczym małolat w piaskownicy. Premier popadł w nadmierne emocje, co raczej nie przystoi poważnemu politykowi i powiedział, że Sejm mu brzdą, więc on i jego koledzy ministrowie mają tego dość. Uwag i wniosków poselskich nie mają zamiaru wysłuchiwać, bo się z nimi nie zgadzają na dwa miesiące przed wyborami wypisują się ze swych funkcji, zabierają długopisy i służbowymi samochodami dobrych marek udają się do domów, na łono rodzin, o czym zresztą od dawna marzą i do czego tęsknią.

Można przyjąć, że do tego momentu obie strony właściwie rozgrywały swoje role – Sejm krytykował, bo to jego niezbywalne prawo, a rząd chciał się podać do dymisji, bo to też jego prawo. Ale kiedy dymisja nie została przyjęta, premierowi i rządowi na tyle poprawiły się nastroje, że do Sejmu wpłynął wniosek o nadzwyczajne uprawnienia dla rządu, to znaczy wzmocnienie jego władzy. Można więc powiedzieć, że nieudolna Rada Ministrów, mająca ograniczone poparcie społeczne (prorządowa „Rzeczpospolita” ocenia ją na 43 proc., co wydaje się być wskaźnikiem wyraźnie zawyżonym) i krytykowaną za doprowadzenie do ruiny państwowego przemysłu, podstawowego źródła dochodów państwa, nabrała tak dobrego samopoczucia, że poszła „na całość” i domaga się przyznania prawa do samowoli poprzez ograniczenie

prerogatyw parlamentu, podstawowej instytucji demokratycznego systemu politycznego. A wszystko pod hasłem obrony i umacniania demokracji i procesu reform. Nader to dziwne, ale w Polsce możliwe.

Powszechnie znany jest stan służby zdrowia, najdelikatniej określając jest on katastrofalny, praktycznie nie ma na nie pieniędzy. Wszystkich wzywa się do oszczędności, a tymczasem szef tego resortu uważa za normalne, że na zakwaterowanie kierownictwa ministerstwa lekką ręką wydano ponad 300 milionów zł, z czego koszty mieszkania pana ministra wynoszą około 40 milionów miesięcznie. Podobno wszystko jest zgodne z pra-

A to Polska właśnie

wem, tylko czy jest to moralne? Miesięczne rachunki za hotel Urzędu Rady Ministrów, gdzie zdecydował się kwatrować minister zdrowia, są 15-krotnie wyższe niż pobory lekarza i płaci się je w tym samym czasie, gdy znany kardiochirurg w telewizji oświadcza, że nie ma pieniędzy na zakup nici chirurgicznych. Dziwny to kraj, że takie sytuacje są na porządku dziennym.

Brak pieniędzy na kulturę, naukę, oświatę. Ministerstwo Edukacji zaleciło skrócenie w szkołach o 4 godziny tygodniowo wymiaru lekcji, choć już w ubiegłym roku, w ramach oszczędności, zalecono ograniczenie o 2 godziny lekcyjne. Programy nauczania pozostały nie zmienione. Ciekawe jak sobie z tym poradzą nauczyciele? Póki co łódzki lider nauczycielskiej „Solidarności” wpadł na pomysł, aby w pierwszej kolejności pedagogzy dobrowolnie opodatkowali się na rzecz szkoły, a następnie wszyscy obywatele. Rodzi się pytanie, to po co istnieje państwo i system podatków państwowych, które winny dostarczać środków, również na oświatę? Oczywiście redukcja godzin lekcyjnych nie dotknęła nauki religii, po raz kolejny utrwalanej w systemie oświaty publicznej powielaczową instrukcją klerykalnie zorientowanego kierownictwa resortu edukacji. Dziwne to, ale prawdziwe.

Pan prezydent Rzeczypospolitej kilkakrotnie publicznie oświadczał, że chce być i jest prezydentem wszystkich Polaków. Tymcza-

wia się przy tym, że właśnie taki obyczaj nie jest niczym dziwnym, a wręcz najslusniejszą normą.

Władzę w Polsce sprawują ludzie najogólniej mówiąc wywodzący się z ruchu „Solidarności”. Przeciwno tej władzy, jeśli tylko rozzejrzeć się po kraju, strajkują w Białymstoku, Starachowicach i Radomiu, niedawno strajkowała załoga łódzkiej „Foniki”, a więc ludzie, którzy uczestniczyli w obaleniu poprzedniego systemu i którzy obecne elity władzy wynieśli do funkcji kierowniczych. Kto więc zawodzi czyje zaufanie: władza strajkujących czy strajkujący władzy? Oniś masowe strajki i demonstracje zmiatały władzę, dziś są beznadziejną próbą rozpaczliwej demonstracji, którą nikt się nie przejmie, a rząd czuje się dobrze, skoro chce rzucić przy pomocy nadzwyczajnych uprawnień. Może zatem rząd powinien, tak jak to kiedyś ironicznie napisał Bertold Brecht, zmienić sobie naród, bo ten co jest zawodzi pokładane w nim nadzieje i domaga się nie wiadomo czego – pracy i godziwych warunków życia?

To tylko kilka kamyczków z wielkiej polskiej mozaiki. Przed nami kampania wyborcza i tu dopiero można będzie popadać w zdumienie nad mirażami, jakie przed naszymi oczami będą roztaczać kandydaci do parlamentu. Ciekawe ilu ludzi im uwierzy? Dziwny to kraj ta Polska.

Jan Wolborski

PREZENTACJE

Michał B. Jagiełło



To B. pomiędzy imieniem i nazwiskiem jest haraczem, jaki musiał złożyć na rzecz wiceministra kultury i sztuki, który pisze się tak samo. Teraz pomyłki są wykluczone.

Urodził się w Łodzi w rodzinie lekarskiej w 1950 r. Ze względu na specjalizację ojca mieszkał jakiś czas z rodzicami na terenie szpitala w Kochanówce. I gdyby za młodu nie oświł się z szaleństwem, pewnie w wieku dojrzałym nie wyładowałby w redakcji „Karuseli”, gdzie od niedawna „sekretniczy”.

Krótkim epizodem w jego życiu był Szczecin i Koszalin. Podstawówkę ukończył w Łodzi. Chodził do jednej klasy z obecnym dyrektorem wydziału kultury Jackiem Piwkowskim i jego bratem, Józefem. Boi się myśleć, że to może bliźnięta.

Na maturze (VIII Liceum przy Wierzbowej) z polskiego miał tylko czwórke, zdecydował się więc na studia rusycystyczne. Nie szło mu to najlepiej, skoro powtarzał III rok. Może dlatego, że od II roku wziął się za tłumaczenie wierszy. Chciał zaimponować koleżankom, a było ich trzydzieści, gdy on jeden. Przekładał wiersze dla każdej po kolei, żadna jednak nie doceniła jego poświęcenia. Dopiero ta ostatnia, Krystyna, zresztą najładniejsza, poznała się na jego talencie. W dzień po obronie pracy magisterskiej wzięli ślub.

Los rozdzielił ich na rok. Akurat zmieniono zasady odbywania służby wojskowej przez studentów. Przymusowo musiał ukończyć „Sorbonę” czyli szkołę oficerów rezerwy.

Dostał etat nauczycielski w zasadniczej szkole energetycznej, uczył też w klasach licealnych i w technikum. Niestety, przez 16 lat nie udało mu się wpoić młodzieży przekonania, że rosyjski jest piękny.

Pierwszy raz ciągnął go na milicję w 1976, gdyż przyjaźnił się z Witkiem Sulowskim, który sympatyzował z KORem. Przypomnieli sobie o nim w stanie wojennym, podpisał „lojalkę” i robił swoje, tłumaczył dla podziemnego „Pulsu” rosyjskich dysydentów. Pierwszym „oficjalnym” przekładem książkowym była autobiografia słynnego skoczka Walerego Brumela opracowana przez Łapszynę. Dopiero ostatnio ujawniono, że głośny sportowiec popełnił samobójstwo. Tłumaczył „Dzieci Arbatu” i dalsze części powieści Anatolija Rybakowa. Łączny nakład – 400 000 egz., kolejki w księgarniach.

Tym jednak, co go pasjonowało najbardziej, były przekłady wierszy: Achmatowa, Gorbaniowska, Okudźawa, Galicz, Kim. Wyspecjalizował się w przekładach poezji śpiewanej. Najbliższy był mu Włodzimierz Wysocki. Dwutomowe nowojorskie wydanie tego autora pozwoliło mu na poznanie skali barda Rosji. Tom przekładów, który zrobił dla „Iskier” w 1983 r. jakoś nie mógł przebić się przez cenzurę. Wreszcie książka ukazała się w nie istniejącym już MAWi. Również Wydawnictwo Radia i TV opublikowało dwujęzyczny tomik pieśni „Nie ma mnie”. Przy okazji spikerka to B. między imieniem i nazwiskiem Michała Jagiełły rozszyfrowała jako Bonifacy, tak to „poszło” w Polskę, gdy naprawdę jest skrótem od Bronisława.

Z tym tomikiem Michał B. Jagiełło cztery godziny czekał na belwiderskim trawniku, gdzie pozbierał wszystkie pawie pióra, aż pojawił się umówiony min. Drzycimski.

Jagiełło ma dwuletniego syna Franciszka Józefa, na cześć cesarza Austro-Węgier; tłumacz mimo królewskiego nazwiska, nie jest monarchistą.

Nie ma szczęścia do organizacji, jak się do czegoś zapisał, zaraz to rozwiązywano. Załuje bardzo, że nie wstąpił do PZPR – historia partii komunistycznej w Polsce byłaby zapewne o wiele krótsza. Tylko w Stowarzyszeniu Tłumaczy Polskich ma już staż kilkuletni, opiekował się Kołem Młodych, był także członkiem zarządu sekcji literatury na szczeblu centralnym. I chociaż równolegle uprawia twórczość oryginalną (satyra), jest przede wszystkim tłumaczem. Może dlatego toleruje tę organizację.

K.F.

Akordy fałszywej praworządności

Wracam do tematu, który przez kilka tygodni bulwersował opinię publiczną. Na pozór mogłoby się wydawać, że konsekwencje bezsensownych konkursów na dyrektorów łódzkich szkół muzycznych znalazły swe szczęśliwe zakończenie.

Oto we wtorek, 10 września, odbyło się zebranie Rady Pedagogicznej szkoły im. St. Moniuszki z dyrektorem departamentu w MKiS panią Adrianną Poniecką. Na spotkanie, poza rodzicami zaproszeni zostali wojewoda łódzki Waldemar Bohdanowicz, wiceprezydent miasta Łodzi Elżbieta Hibner, kierownik Wydziału Infrastruktury Społecznej Jacek Danowski. Przybył także proszony o pomoc przez nauczycieli poseł Andrzej Kern. Nikt z obecnych nie miał zasadniczo wątpliwości, że nominacja nowego dyrektora na miejsce usuniętej ze stanowiska dyrektora Krasnodębskiej jest pogwałceniem Karty Nauczyciela i że prawo zostało złamane. Zasadą jest, że łamiący prawo zobowiązany jest do naprawienia szkód i przywrócenia stanu rzeczy istniejącego przed popełnieniem przestępstwa. Zebrani, o czym nie wątpliwie, mieli tego pełną świadomość.

Na pojawienie się pani dyrektor departamentu przyszło czekać ponad 20 minut. Gdy w końcu przybyła, stwierdziła że sala przewidziana na spotkanie

Ministerialna zagrywka

jest za mała. Przeniesiono więc zebranych do większej – sali koncertowej. Następnie, bardzo grzeczna i niezwykle wrażliwa na formy zachowania pani dyrektor – wyrzuciła wszystkich zaproszonych gości, bo chciała się spotkać tylko z Radą Pedagogiczną. Goście mieli wrócić za godzinę. Wszyscy, nie będący członkami ciała pedagogicznego pokornie opuścili salę. Zebrani pod drzwiami najwyższym przedstawicielom władz miasta, rodzicom, dziennikarzom przyszło czekać prawie dwie godziny – w końcu, wypuszczeni, zostali poinformowani, że minister „powierzy pełnienie obowiązków” dyrektora szkoły pani Elżbiecie Arendarskiej, byłej wicedyrektor, bliższej współpracownicy usuniętej dyrektora Krasnodębskiej. Co prawda Karta Nauczyciela nie przewiduje możliwości „powierzenia obowiązków” dyrektora szkoły – takie stanowisko w szkole nie jest przewidziane prawem, jednak, mimo zwrócenia na to uwagi przez nauczycieli – kompromis został „osiągnięty”. Wszyscy wydawali się być bardzo zadowoleni i bez dalszych ceregieli rozeszli się grzecznie do domu. Pozostała wątpliwość – czy na pewno o to chodziło? Czy zasadom prawa stało się zadość, czy osoby pokrzywdzone uzyskały zadośćuczynienie a niekompetentni, aroganccy urzędnicy – pociągnięci do odpowiedzialności?

„Niech prawo zawsze prawo znaczy, a sprawiedliwość – sprawiedliwość”. W imię tego hasła tysiące ludzi było prześladowanych, wsadzanych do więzień. W imię tego między innymi hasła dokonała się wielka przemiana – nasza, polska rewolucja. Obawiam się, że w tej chwili, co raz częściej się o nim zapomina, że się go lekceważy. Obawiam się, że zostało ono zapomniane również w sali koncertowej Państwowej Szkoły Muzycznej I i II stopnia, im. St. Moniuszki w Łodzi.

Mirosław Borusiewicz

Po wyborach samorządowych mieliśmy obudzić się w innej, lepszej Polsce, lecz sen się nie ziścił: jest tak samo, a niekiedy nawet gorzej, choć niewątpliwie przybyło nam święconej wody. Kiedy wszystkie wskaźniki ekonomiczne zdają się krzyczeć o głębokiej zapaści gospodarczej, w jednej tylko dziedzinie możemy odnotować znaczący postęp: nie maleje liczba powołań kapłańskich, świecimy przykładem Europy i świata. Gdy perspektywa posiadania własnego mieszkania staje się coraz mniej realna dla wielu polskich rodzin, budownictwo sakralne rozwija się bez najmniejszych zakłóceń. A jednocześnie maleje prestiż Kościoła i nasi biskupi coraz częściej, miast tryumfu, okazują z troską nie.

Trzeba mieć wzmoczone poczucie własnej

wartości cechujące na przykład Antoniego Macierewicza, aby sądzić, że wolne wybory do Sejmu i Senatu usuną za jednym zamachem trudności piętrzące się przed Polską. Nagonka na parlament, nazywany obelżywie kontraktowym, podrywa zaufanie nie tylko do Wysokiej Izby, ale do wszystkich instytucji demokratycznych. Nic dziwnego, że w badaniach opinii publicznej zyskują na znaczeniu wojsko i policja.

Oczywiście mogło być grubo gorzej. Strach pomyśleć, co by się działo, gdyby zamiast dwóch braci Kaczyńskich, w Belwederze, po prezydenckich trawnikach przechadzały się gdańskie pięcioraczki. Porozumienie Centrum, które lansowało hasło przyspieszenia i obrzucało błotem Tadeusza Mazowieckiego za filozofię grubej kreski, dziś najwyraźniej samo znalazło się pod kreską i nie ma najlepszych notowań. Nic dziwnego, że w swoim poradniku wyborczym zaleca zarzucanie przeciwnikom politycznym rzeczy tak pospolitych jak bicie żony, donosicielstwo, niepowodzenie w interesach, lesterstwo i nieuctwo. Metoda ta została wypróbowana w niedawnej kampanii prezydenckiej, kiedy zadbane o właściwy image przybyła z Kanady dowodząc, że Stachu grzmoci pięściami Graciele. A przecież wystarczyło pozostawić sprawy własnemu biegowi – zdać się na niewątpliwy patriotyzm pana Tymisńskiego, który w trosce o Polskę miast budować nowe domy, pragnie zafundować nam atom (widocznie w młodości pilnie uczęszczał na pochody pierwszomajowe). To samo poczucie obowiązku wobec ojczyzny każe mu także pośpieszyć się z deklaracją dobrych intencji wobec junty w Rosji. Miał oczywiście rację, gdyby zwlekał, jego posłanie musiałoby przeniknąć kraty więzienia, za którymi znaleźli się niedoszli władcy Kremla.

Zatroskani są nie tylko biskupi, zmartwienia spędzają sen z powiek bezrobotnym a nawet tym wszystkim, którzy mają jeszcze pracę, ale są niepewni jutra. Wielkoprzemysłowa klasa robotnicza, podpora pierwszej „Solidarności”, schodzi niemal bez protestu ze sceny dziejowej. Zbigniew Bujek, legendarny lider podziemia, przeprosza wszystkich zawiedzionych. Opustoszałe cokoły peerelowskich „świętych” nie zapelnili się postaciami ze spisu o ludzkim obliczu – wszyscy, łącznie ze zdeklarowanymi katolikami zaczynają czcić złotego cielca, bożka mamony.

Czy można się dziwić, że ludzie zamykają się w sobie i odwracają od partii politycznych, zarówno tych z prawa jak i z lewa? Zbieranie podpisów pozwalających kandydatom na start w wyborach szło opieszale, chociaż wymagania

„Niechaj Polska zna, jakich synów ma”

ordynacji tym razem nie było zbyt wygórowane. Nie widzę nic gorszego w tym, że autografy niekiedy kupowano od przechodniów, bardziej niebezpieczne są oczywiście fałszerstwa, dopisywanie martwych dusz, choć wątpię, czy pomysłodawcy czytali Gogola. A Gogol, choć to Rosjanin i polakożerca bardzo teraz byłby na czasie.

W Łodzi przeżyliśmy małą sensację, kiedy lokalna komisja wyborcza odmówiła wpisania na listę kandydatów dra Janusza Baranowskiego i to akurat wówczas, gdy prezes ofensywnej „Westy” przebywał w Kuwejcie. Odwołanie poskutkowało i temat zniknął z łamów

autorzy tych bezczelnych napaści zdają sobie sprawę, co by się stało, gdyby wszyscy bezdomni ministrowie zapragnęli zamieszkać pod mostami? Ile trzeba by w Warszawie wznosić takich budowli? A konstrukcje hydrotechniczne są bardzo kosztowne i na pewno nie opędzilibyśmy się głupią kwotą siedemdziesięciu milionów. Toteż podatnik skorzysta, jeśli ministrom kupować będziemy meble, anteny satelitarne a nawet sprezentujemy im luksusowe samochody do użytku prywatnego. Ostatecznie reprezentują majestat Rzeczypospolitej.

Dlatego niepokoi mnie trochę, że tym razem przewidziano prawne limity kosztów na kam-

Rozdanie znaczoną talia

prasy. Wydarzeniem dnia nie stało się natomiast kolejne upokorzenie Waldemara Trajdosa, buńczucznego kandydata na prezydenta, teraz pretendującego do mandatu poselskiego. Nasz narodowiec cichcem chciał podrzucić komisji swoją niekompletną listę podpisów licząc widocznie, że stworzy mu to szansę odwołania, ale zamiar się nie powiódł. Niedoszły kandydat na prezydenta, cieszący się podobno poparciem większości Polaków, musiał opuścić lokal jak niepyszny. Oglądając takie sceny obyczajowe, ma się ochotę zanucić: „Niechaj Polska zna, jakich synów ma”.

Pomimo braku pana Trajdosa lista partii i ugrupowań w Łodzi, które spełniły wymogi formalne i mają prawo organizować swoje kampanie wyborcze, jest wcale pokaźna. Obywatele, którzy pójść spełnić swój obowiązek wobec ojczyzny i wejść za parawan z długopisem, otrzymają sporych rozmiarów książeczkę. Przypominać ona będzie trochę spis telefoniczny i niełatwo będzie się w tym polapać tym bardziej, że niemal wszystkie ugrupowania deklarują wartości chrześcijańskie. Jest to pewne novum, gdyż do niedawna używano innego pojęcia-wytrycha – społeczna nauka Kościoła. Tylko Stronnictwo Narodowe, to słuszne, bo reprezentowane przez dr Kingę Wiśniewską-Ruszkowską jawnie głosi, że miejsce kobiety jest w kuchni a jej rolę życiową jest rodzenie dzieci, zaś rozwody to rzecz bardzo brzydka i niedopuszczalna. W tej sprawie będziemy mieli do czynienia z ciekawą licytacją Stronnictwa Narodowego i Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, którego lider prof. Wiesław Chrzanowski także marzy o umocnieniu rodziny jako fundamentu zdrowego społeczeństwa. Prawdą jest, że tak rozumiane zdrowie łatwiej będzie osiągnąć niż poprzez nakłady na szpitale, przychodnie lekarskie i sanatoria, wystarczy przekreślić zasady kodeksu uzurpatora Napoleona, który jakobińską zarazę rozniósł po Europie. Polska ma pod tym względem dobrą tradycję, błąd cesarza Francuzów naprawił carat, widocznie także w trosce o trwałość rodziny. Jeśli do tego uzdrowicielskiego procesu włączy się minister Sidorowicz, skutek będzie murowany i szkoda tylko, że ze swego stołka spadł wiceminister Kapera, który nie tylko dbał o nasze zdrowie, ale na dodatek miał zdrowe poglądy.

Korzystam z okazji, aby wziąć w obronę ministra Sidorowicza, chociaż reprezentuje Porozumienie Centrum, a przynajmniej się do słabości, iż za tym ugrupowaniem nie przepadam po aferze „Telegrafu”. Ataki na szefa resortu zdrowia wydają mi się całkiem niezrozumiałe. Czy



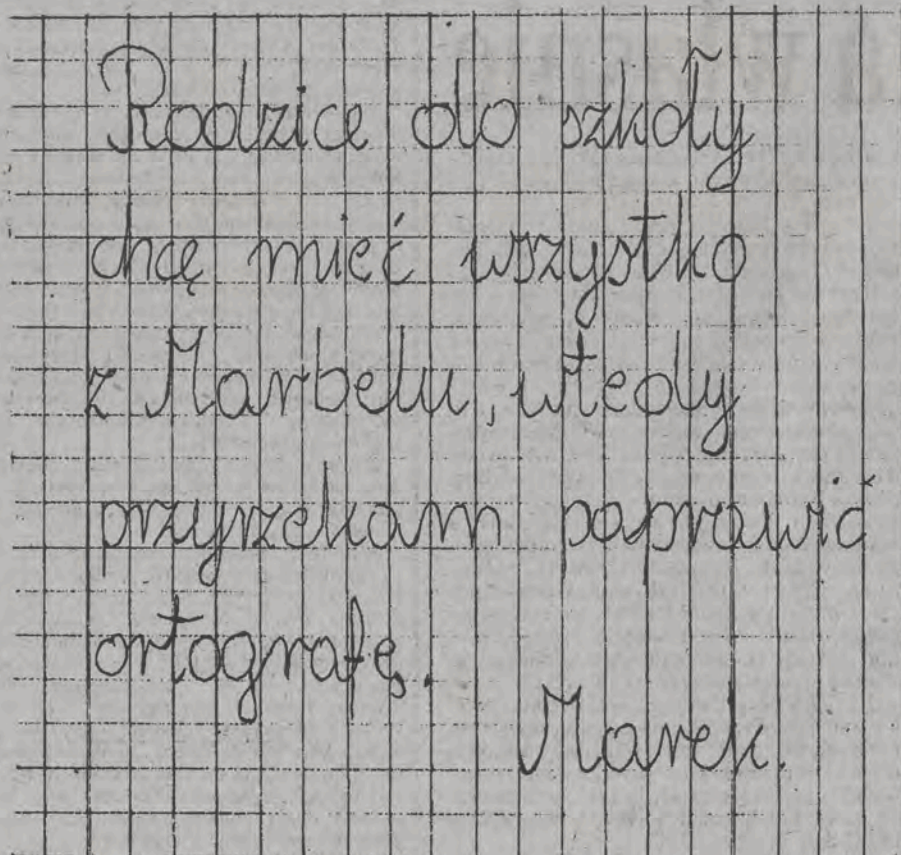
panie wyborczą. Czy nie ucierni na tym prestiż władzy ustawodawczej? Nasze szare ulice nie pokrywają się barwnymi plakatami, mniej zarabia plastycy i drukarnie. Z drugiej strony interesuje mnie bardzo, co się stanie, jeśli jakieś stronnictwo czy partia nie zmieści się w limicie wydatków. Poseł nie pójdzie siedzieć, to pewne, gdyż chroni go parlamentarny immunitet, ale może zostanie przykładowie pozbawiony mandatu? A przecież mimo tyli pułapek i zagrożeń nie brak chętnych do służby ojczyźnie. Nawet wiceprezes radiokomitetu Marek Markiewicz, pomimo nawału obowiązków, zdecydował się kandydować z listy związku zawodowego „Solidarność”, choć jest bardziej pracodawcą niż najemnym pracownikiem, choć niewątpliwie z nominacji. W Łodzi ochoczo wystartowali do wyborów miejscy radni. Z dobrego serca życząc im wszystkim sukcesu, choć strach pomyśleć, co się stanie z lokalnym samorządem, jeśli jego wszyscy najlepsi i wypróbowani przedstawiciele trafiają do gmachu na Wiejskiej. Nie ulega przeciętnie wątpliwości, że rada miejska, która już dzisiaj miewa kłopoty z frekwencją, zostanie sparaliżowana.

Cała nadzieja w tym, że nastąpią jakieś kooptacje czy wręcz uzupełniające wybory. Chętnie widziałbym w odnowionej radzie posła Stefana Niesiołowskiego. Jest wybitną osobowością, cieszy się sympatią Małgorzaty Zietkiewicz, która, jak słyszałem, nakręciła o nim film przetrzymywany nie wiedzieć czemu w zamrażarce telewizji, ale ostatnio ma same niefarty. Przegrał w radiowym plebiscycie z p. Millerem, Leszkiem zresztą, więc może dlatego, szarpany jest przez prasę za jakieś 100.000 – franków, ostatnio zaś zapomnieli o podpisaniu przez jego ugrupowanie porozumienia, które zobowiązywało do poniesienia kampanii niewiast i z furią zaatakował aliantów czyli udeję. Pan Niesiołowski występuje pod szyldem Akcji Katolickiej, więc ta demonstracja miłości bliźniego da pewnie wielu chrześcijanom do myślenia.

Jest to oczywiście frazka w porównaniu z deklaracją zaprezentowaną ostatnio przez przedstawiciela Unii Polityki Realnej, która także chętnie powołuje się na Boga. Kandydat tego ugrupowania zapowiedział już, że będzie się domagał stosowania kary śmierci wobec łobuzów. A co ze świętością życia, wszak nawet drań musiał być kiedyś poczęty? Dlaczego dla wygody pozbawiać go duszy?

Tymczasem w radiu i telewizji trwa już koncert życzeń, rozpoczęła się kampania wyborcza. Nieco zdezorientowany obywatel słucha tego wszystkiego i zwolna ogarniają go wątpliwości. Gra się zaczęła, ale karty są jakby znaczone. Pomimo wysiłku umysłowego trudno wyłowić coś nowego. Słyszmy o upadku gospodarki, nikt jednak nie mówi, jak podnieść ją z upadku, każdy natomiast twierdzi, że ma program wyjścia z recesji. Można jeszcze zrozumieć ugrupowania pozaparlamentarne trzymające podobno w zanadrzu zbawcze recepty, chociaż gdy ujrzałem w telewizorze Józefa Henryka Wiśniewskiego, reprezentanta Partii Wolności, niezłego wprawdzie poecie, ale człowieka schorowanego i już nie młodego, wątpię, czy Dłaczego jednak partię mające udział w sprawowaniu władzy nie zrobiły dotychczas użytku ze swoich programów? Dłalibóg, to jakaś straszna tajemnica.

Konrad Frejdllich



**Wszystko
do
szkoły
i do
zabawy**

Marbel

Łódź, ul. Brukowa 6/8
tel. 51-23-18 w. 91
51-27-95

W Starachowicach co trzeci nie ma już pracy

W Starachowicach wszyscy są zgodni, że bez „Starów” nie będzie Starachowic, tylko jakieś beznadziejnie smutne, wegetujące na prowincji miasteczko. Te ciężarówki, będące niegdyś dumą socjalizmu, do ostatnich niemal lat były dumą tutejszej społeczności. Były czymś więcej: dawały zatrudnienie, umożliwiały karierę, nadawały sens niejednemu życiu. W szczytowym okresie powojennym krzątało się nad nimi 16 tysięcy dusz ludzkich, licząc tylko zatrudnionych w zakładzie. Razem z rodzinami, stanowiło to więcej niż połowę Starachowic. To nie miasto posiadało fabrykę, to ona trzymała przy sobie miasto.

Było tak od niepamiętnych czasów, zmieniały się tylko fabryczne wyroby. Najpierw były to wytopy hutnicze z „Kombinatu Kamiennego”, założonego jeszcze przez Staszica. Potem – działka przeciwlotnicza na szwedzkiej licencji „Boforsa” wyprodukowane w Zakładach Metalowych. Powinny bronić polskiego nieba, ale większość wyeksportowano m. in. do Anglii. Za to Niemcy, w filii zakładów „Herman Goering”, robili tu broń wyłącznie dla siebie. Po wojnie zdecydowano się na ciężarówkę. Od 1948 roku wyjeżdżały za bramę Fabryki Samochodów Ciężarowych im. F. Dzierżyńskiego. Stempel o takiej nazwie wybijany jest dotąd na rachunkach miejscowego hotelu. W hotelowych korytarzach, w ozdobnych ramkach, widać się do gości wyblakłe już, pokryte kurzem „Stary”. Wszystko to nostalgicznie przypomina dawne lata świetności.

Na czym polega liberalizm?

W tłustych latach produkowano w Starachowicach 25 tysięcy ciężarówek rocznie. Jeszcze rok temu wydawało się, że na „Stary” zbyt będzie wiecznie, a przynajmniej dopóty, dopóki istnieć będzie armia polska. Czyż można było przypuszczać, że armii zabraknie pieniędzy? Czy można było przewidzieć, że rząd nie zadba o zakład, wytwarzający części zamienne dla 250 tysięcy jeżdżących po Polsce „Starów”? Za komuny nawet wizyty ministrów należały do rzadkości. Premiera nie widziano w Starachowicach od lat. Nie było takiej potrzeby.

A dziś? Premier Bielecki był już dwukrotnie: na sympozjum „Solidarni wobec bezrobocia”, a ostatnio – wpadł na obrady związkowej „krajówki”. Za pierwszym razem usłyszeli od niego, że to sympozjum, a jedynie, co zrobiono do tej pory w „Starze”, żeby się uratować. Wtajemniczeni twierdzą, że premier pozwolił sobie również na wątpliwość, czy najnowszym dzieckiem fabryki, trzytonowa półciężarówka „Star 742”, okaże się dla Starachowic dobrym interesem. Za drugą wizytą, w drodze na Jasną Górę, powiedział im to, co mówi zawsze: że rząd pomoże tym, którzy sami sobie pomogą, oraz – że czasy cudów w Polsce już minęły.

Po takiej dawce rządowego „trzeźwego spojrzenia” w fabryce zaczęto podejrzewać, na czym polega liberalizm: że niezależnie od tego, ile razy przyjeżdża premier, po jego odejściu zostaje tak samo, jak było i jest.

A jest coraz gorzej. Popyt na ciężarówkę spadł o przeszło połowę. Przestało kupować nie tylko wojsko (a wymyślił dla niego – mówią z gorczyką – taki piękny terenowy samochódzik: „Stara 266”) ale i przedsiębiorstwa. Pozostali drobni nabywcy, toteż zbyt ustalił się na poziomie 10-15 aut dziennie. Za mało, aby wystarczyło na podatki, dywidendę, spłatę długów. Doszło w końcu do tego, że nie ma za co kupić materiałów do produkcji!

No i w lipcu stała się rzecz zawstydzająca: całą partię ciężarówek sprzedano bez siedzeń, bo nie było pieniędzy na ich zakup. Fabryka jest zadłużona na prawie 600 mld złotych.

Wspólny wysiłek Załogi i Zarządu

9 sierpnia prezes Zarządu Spółki „Star” SA Janusz Królikowski zapowiedział, iż ze względu na sytuację finansową powinien rozpocząć się proces likwidacji fabryki. Robotnicy odebrali to jednoznacznie: skoro „góra” jest bezradna, to znaczy, że może im pomóc wyłącznie strajk. I to od zaraz.

O dziwo, ten sposób rozumowania zdają się podzielać wszystkie tzw. „czynniki” w Starachowicach. Właściwie nie powinno to dziwić: władza jest demokratycznie wybrana, podąża więc za ludem. A jednak w takim np. Białymstoku, władza rozpedziła strajkujących pałkami. Gdzie indziej, jeśli wybuchnie strajk, władza przynajmniej nie spieszy się z poparciem. Tutaj jest całkiem inaczej. Na pytanie czy strajk pomógł Zarządowi w zabiegach o uratowanie FSC (sic!! – przyp. AG) prezes Janusz Królikowski wyjaśnił:

– Na pewno nie zaszkodził. Strajk jest czynnikiem wpływającym na unaocznienie skali

Buksowanie „Stara”

problemów. (...) Jest to więc wspólny wysiłek Załogi i Zarządu w kierunku gospodarki rynkowej.

W tym samym duchu wypowiada się ściśle współpracujący z komitetem strajkowym prezydent Starachowic, Grzegorz Walendzik:

– Wiadomość o rozpoczęciu strajku przysłałem ze zrozumieniem (...) Mam jednocześnie nadzieję, że determinacja załogi „Stara” SA zmusi odpowiednich decydentów do podjęcia szybszych działań wspomagających zakład.

Reprezentujący władzę duchową bp. Edward Materski, ordynariusz diecezji, w czasie mszy odprawionej na terenie zakładu wygłosił homilię na temat „teologii strajku”, którą zakończył słowami:

...ten ołtarz Chrystus zastawia chlebem swojego Słowa; chcemy prosić, aby wejrzał na stoły w naszych domach; chcemy prosić, aby każdy miał godziwe wynagrodzenie, aby każdy miał prawo do rozwoju.

(powyższe cytaty pochodzą ze starachowickiej „Gazety Strajkowej”).

Pozornie wydaje się więc, że podobnej harmonii władz i społeczeństwa nigdy jeszcze w mieście nad Kamienną nie widziano. A jednak robotnicy narzekają na dyrekcję, że za mało operatywna, nie spełnia pokładanych w niej nadziei. W komitecie strajkowym przynajmniej, że nawet nie próbowali jej zmienić. Zdają sobie sprawę, że trudno dziś o menedżerów – kandydatów na zawal, a ci są przynajmniej „wciągnięci”.

Strajk powściągliwy, grożący wybuchem

Strajkuje znaczna większość załogi. Wprowadzono system przepustek: mężczyźni muszą wytrzymać przez cztery doby, zanim otrzymają przepustkę do domu, i to zaledwie na 6 godzin. Kobiety wypuszczane są na 12 godzin – po dobie przebywania w zakładzie. Dla tzw. fabrycznych małżeństw (jest takich sporo) przewidziano specjalne ulgi: gdy mąż strajkuje, żona może przebywać w domu, i na odwrót.

Nie chodzi im, broń Boże, o płace. Godzą się wegetować dalej za milion z kawałkiem miesięcznie. Byłoby tylko uratować zakład. Byłoby uratować się miasto.

Wydają się silni przez to, że mają za sobą poparcie. Nie tylko Starachowic. Dary i datki

przysyłane są nawet z odległych regionów. Dlatego, że jeśli oni wygrają, wygra być może wiele innych miast i miasteczek, gdzie szykuje się masowe bezrobocie.

Zarazem jednak czują się słabi. W gruncie rzeczy mają poczucie bezsilności. Wszystko zależy przecież od tego, czy znajdzie się kapitał i kredyty. Robotnik może usunąć dyrektora, a nawet całą władzę. Ale jak ma załatwić kredyty? Od tego jest „góra”, ci, do których nie ma się z reguły zaufania:

– Oni tylko przychodzą sobie na dyżury, nie wyobrażają sobie, jak w takich warunkach można spać, jeść, oni są zestresowani i potrafią myć się tylko w swoich łazienkach, a robot to może wszystko wytrzymać.

Działacze „Solidarności”, słysząc podobne wypowiedzi (cytat jest autentyczny) zadają sobie z niepokojem pytanie, jak długo jeszcze ta pozorna harmonia wytrzyma? A jeśli nie uda się zwyciężyć? Wiadomo, że bezsilność szybko przeradza się w rozpacz, a rozpacz w ślepy gniew...

– Boję się – mówi Zbigniew Suszek z zarządu fabrycznej „Solidarności” – że jak tak daleko pójdzie, to przymiotnik „starachowicki” może stać się synonimem czegoś najgorszego. Im dłu-

żej trwa strajk, tym łatwiej o agresję. Spokój jest pozorny...

Dlatego, dopóki się da, działacze usiłują powściągnąć zbyt agresywne ataki na rząd. Usiłują też nie dopuścić do strajkujących partyjnej polityki. Na razie im się to udaje: na murach wokół zakładu nie widać żadnych transparentów, oprócz lakonicznego „Walcymy z bezrobociem”.

Krople przelewające dzban

Ci, których wypływa fabryka, trafiają do kartotek kierownika Andrzeja Senddeckiego. Doliczył się ich na razie 2300. To nie znaczy, że tylko im wypłaca zasiłki. Bezrobotnych jest już w Starachowicach ponad 9 tysięcy. Jak na 27 tysięcy zawodowo czynnych w mieście, bardzo dużo: 30 procent.

– Niedawno zastanawiałem się – mówi kierownik – co się stanie, gdy dojdzie do 20-procentowego bezrobocia. Uważałem to za próg bezpieczeństwa. Teraz nie wiem, gdzie ten próg się znajduje. A może w małym mieście, jak Starachowice, nigdy nie dochodzi do wybuchu? Może wszystko topi się w beznadziejności?

Mechanizm wzrostu bezrobocia jest prosty: gdy FSC przestaje produkować, tracą zatrudnienie kooperujący z nią rzemieślnicy, których było tu mnóstwo. Bezrobotni, a także większość marnie opłacanej załogi „Stara” nie mają za co kupować towarów. W sklepach przemysłowych nie ma więc prawie klientów. Upada handel, cierpią więc dostawcy – krąg recesji rozszerza się, prowadząc w efekcie do zmniejszenia wpływów w budżecie miasta, przez co cierpią inwestycje, niepotrzebni stają się z kolei pracownicy służb miejskich itd, itd.

W liczbach wygląda to tak: z 750 zakładów rzemieślniczych – 600 zwinęło interes. Zlikwidowano 3 przedszkola, bo budżet miasta ma w tym roku 18-miliardową dziurę. Zamyka się sklepy, a pożyczkobiorcy, planujący otwarcie nowych, rezygnują, zwracając pożyczki. Ostatnio zrobiło to w Urzędzie Miejskim trzech poważnych pożyczkobiorców. O jakimkolwiek rozwoju – nie ma mowy. Chyba że znajdzie się zagraniczny kapitał.

Jak na razie, pojawiają się z zagranicy prawie wyłącznie Rosjanie. Nie trafiają jednak do „Stara”, tylko na bazar. Biednie ubrani, oferujący jakieś nędzne drobiazgi, opanowali poło-

wę stoisk. Są jeszcze Francuzi, którzy od miesięcy nicują fabrykę, aby wykrzesać z niej jakąś wizję (perspektyw rozwoju). Jest na koniec Żyd z Ameryki, wspomagający kapitałowo zakłady mięsne w budowie. Dla kierownika Senddeckiego jest to jedyny jasny promyczek na ciemnym niebie. Jak dobrze pójdzie, odbierze mu w przyszłym roku ponad tysiąc zasiłkowiczów.

Możliwe, że uda się także zorganizować roboty publiczne. Prezydent miasta wylazi ze skóry, aby załatwić fundusze na rozwój telefonii. Idzie to jak po grudzie. Jak wszystko w tym kraju.

Na razie Starachowice nie wyglądają na miasto, któremu zagraża śmierć. Tylko te puste sklepy...

Policja może dodać jeszcze i to: wzrasta ilość przestępstw oraz liczba samobójstw. W sierpniu zanotowano ich osiem. Dwa popełnili mężczyźni, korzystający z zasiłku. Kierownik zbadał te przypadki. To były zawody miłosne, plus powikłane układy rodzinne – wyjaśnia. Nie dopatrzył się bezpośredniego związku z bezrobociem.

Może być tylko ewentualnie związek pośredni, w postaci kropli, która przelewała dzban...

Nadzieja

Gdy na „dole” podejrzewają, że liberalizm oznacza beczynność, rząd udowodnił, że może też oznaczać przyzwolenie na ryzykowny kredyt. Tak bowiem określić można rządowe gwarancje na udzielenie przez Agencję Rozwoju Przemysłu kredytu na zakup wysokopiętnego silnika „Perkinsa” dla starachowickiego „malucha”. Interes wcale nie wydaje się bowiem pewny. Pomimo oficjalnych zachwytów dyrektora, Francuzi wystawili „maluchowi” jedynie dyplomatyczną opinię:

„Stan techniczny „Stara 742” jest satysfakcjonujący. Nie jest to samochód w pełni odpowiadający europejskim normom (duża kabina, duża masa własna), istnieją jednak uzasadnione nadzieje, że samochód ten można udoskonalić”.

Decyzja w sprawie kredytu zapadła dopiero w ostatnich dniach sierpnia, po trzech tygodniach strajku. Podobnie dopiero teraz posunęły się negocjacje z bankami – wierzycielami. Czyżby więc robotnicy mieli rację, że uratuje ich tylko strajk? Gdyby nie strajk, byłoby już zapewne wszczęte postępowanie likwidacyjne, a rząd – nie naciskany przez załogę – zająłby się pewnie innymi, ważniejszymi sprawami...

Może więc mają rację i w tym, że mimo dobrych wieści, nie rozchodzą się jeszcze do domów?

– Taką mieliśmy nadzieję – wzdycha Zbigniew Suszek – że rząd wyjdzie nam naprzeciw na tyle wyraźnie, żebyśmy mogli zakończyć strajk 31 sierpnia, dokładnie w 11 rocznicę Porozumień Sierpniowych. Cóż, nie wyszło...

Nie wyszło, ponieważ premier Bielecki nie ma skłonności do rocznicowych gestów, a oni nadal nie mają gwarancji, że zobowiązania, jakie udało im się uzyskać w początkach września, zostaną dotrzymane. Wszystko to jest nieokreślone, mało konkretne: Agencja może udzielić kredytu, ale nie musi; banki mogą odroczyć spłaty, albo zamienić je na udziały starachowickiej spółki, ale nie wiadomo, czy nie zmienia zdania.

Będą więc nadal strajkować, dopóki nie uzyskają pisemnych gwarancji, że program ratunkowy będzie konsekwentnie realizowany. Gwarancją – umówili się – może być dla nich tylko podpis ministra albo premiera.

Jeśli nie zobaczą czarno na białym podpisu – nie przystąpią do pracy, nie wyjdą z zakładu.

A wtedy – wyjdą z kątów upiory.

Andrzej Gębarowski

Reklama w „Odgłosach” to reklama przez cały tydzień!

Oferujemy usługi w zakresie reklam. Promocyjne ceny:

- na kolumnie ogłoszeniowej – 6 tys. zł za 1 cm² (minimalna powierzchnia ramki 25 cm²)
- reklamy na pierwszej stronie – 100% dodatku (powierzchnia nie może być większa niż 150 cm²)
- reklama na ostatniej stronie – 50% dodatku (powierzchnia nie większa niż 200 cm²)
- reklama na pozostałych stronach 30% dodatku

Wykonujemy opracowania graficzne reklam: przy całostronicowej – 10% dodatku, przy pozostałych – 25% dodatku. Przy pięciu kolejnych ogłoszeniach – piąte zamieszczamy bezpłatnie!

Proponujemy także nowy atrakcyjny rodzaj reklamy w formie artykułów pisanych przez naszych dziennikarzy. Rodzaj publikacji i opracowanie graficzne do uzgodnienia.

Ceny: całostronicowa publikacja – 10 mln zł,
półstronicowa – 6 mln zł,
ćwierćstronicowa – 4 mln zł

Ogłoszenia przyjmowane są w:

- „Odgłosach” ul. Sienkiewicza 3/5 XI piętro, pok. 1104, tel. 36-52-44
- „Gazecie Reklamowej” ul. Sienkiewicza 11/13, tel. 33-18-19
- AnGORZE” ul. Piotrkowska 94, I piętro, pok. 11, tel. 32-61-79
- Biurze Ogl. i Rekl. „Epoka” al. Kościuszki 41, tel. 33-23-28
- Biurze Reklam i Ogłoszeń ul. Sienkiewicza 3/5, tel. 33-11-50
- B.U.T. „Voycamp-Tour” ul. Piotrkowska 91, tel. 33-36-21

UWAGA! – oferujemy najtańsze ogłoszenia drobne – bo **BEZPŁATNE!** CZYTELNIKU! Wypełnij wycięty z naszego pisma kupon i prześlij go pod adresem redakcji. Twoje ogłoszenie zostanie zamieszczone bezpłatnie w jednym z najbliższych numerów „Odgłosów”. Treść ogłoszenia nie może przekraczać 10 słów.

Kupon ogłoszeniowy będziemy zamieszczać przez najbliższe 3 miesiące

KUPON OGŁOSZENIOWY „Odgłosy” 90-113 Łódź ul. Sienkiewicza 3/5

Treść:

(imię i nazwisko)

(adres)

(telefon)

(data)

(podpis)

● KUPON OGŁOSZENIOWY ● KUPON OGŁOSZENIOWY ● KUPON OGŁOSZENIOWY

Adoptowane, znaczy gorsze

Ta historia wydarzyła się w jednej z podlódzkich miejscowości, ale mogła wydarzyć się wszędzie. Nazwa miejscowości nie ma znaczenia, tak jak nie mają znaczenia nazwiska bohaterów. Znaczenie mają tylko fakty.

Antonina B. wyszła za mąż w wieku 25 lat. Według małomiasteczkowych obyczajów była już „starą panną”. Państwo młodzi zamieszkali w domu rodziców męża. Początkowo wszystko układało się między nimi dobrze. Nie było kłótni, zatargów. Pierwsze niesnaski zaczęły się w rok po ślubie.

– Jesteście już rok po ślubie i jeszcze nie macie dzieci – niepokoiła się teściowa.

– Mamy czas, nie śpieszy nam się – uspokajał ją syn.

Z czasem jednak upominania teściowej stały się coraz częstsze i coraz bardziej natrętne. Wkrótce stały się wręcz nie do zniesienia.

– Siedzi o was gadają – mówiła – że jesteście bezpłodni.

Owo „bezpłodni” – brzmiało w jej ustach jak ciężki zarzut, jak grzech nie do wybaczenia. Sąsiedzi, znajomi z braku innych „atrakcji” w miasteczku stali się częstymi bywalcami w domu państwa B. Pod pozorem pożyczania soli czy cukru, sąsiedzi przychodzili i wypytali zropanowaną teściową Antoninę:

– No i co? Szykuje się „coś”? Była u lekarza?

Wkrótce presja otoczenia stała się tak dokucająca, że Antonina B. popadła w lekomanie. Środki uspokajające stały się dla niej niezbędne. Po trzech latach małżeństwa częste wizyty sąsiadów i znajomych ustały. Wszyscy już wiedzieli: oni nie mogą mieć dzieci, bo gdyby mogli, to już by dawno mieli!

Koleżanki zaczęły lekceważąco odnosić się do Antoniny. Dzieci zaczęły wołać za nią: bezpłodna! Któregoś razu usłyszała, jak jej dawna przyjaciółka mówiła do swojej siostry:

– On ją powinien rzucić, po co mu bezpłodna żona – takiemu przystojnemu mężczyźnie?!

Wkrótce teściowa Antoniny zaczęła buntować swego syna przeciwko żonie:

– Rozejdź się z nią. Znajdziesz sobie drugą, która ci urodzi dziecko.

Syn jednak kategorycznie ucinął podobne rozmowy.

– To moje życie i moja sprawa, niech się mama nie wtrąca!

Wkrótce oboje małżonkowie poddali się badaniom lekarskim. Wykazały one, iż „winni” są oboje małżonkowie. Takie przypadki zdarzają się niezwykle rzadko – akurat padło na nich.

– Gdyby to była tylko moja „wina” – żaliła się Antonina – można by było zrobić „in vitro”, a tak – nie było żadnych szans.

Po śmierci rodziców mąż Antoniny zdecydował, iż adoptują dziecko. Wkrótce w ich domu zagościła radość. Adoptowana córeczka była

pogodna, zdrowa, rozwijała się dobrze. Gdy dziecko miało 4 latka, umarł mąż Antoniny. W wychowywaniu malej pomagała odtąd Antoninie jej siostra. Przez dwa lata wszystko było w porządku. Dramat zaczął się, gdy mała Ewelinka poszła do szkoły. Dzieci wołały za nią: bękart, cudzy bachor, sierota! Nie chciały się z nią bawić, stała się popychadłem klasowym, zaczęła się jąkać. Antonina okłamywała ją, że dzieci tak na nią mówią, bo jej tatuś nie żyje, dzieci go nie pamiętają, i myślała, że Ewelinka nie ma tatusia wcale.

– Coś przecież musiałam wymyślić, żeby się nie domyśliła prawdy – usprawiedliwiała się Antonina B.

Aby oszczędzić dziecku dalszych cierpień, matka sprzedała dom po teściach i wynajęła mieszkanie w Łodzi. Ewelinka zmieniła

OKRUCIEŃSTWO

szkołę, szybko zapomniała o doznanych przykrościach.

– Wszystko być może byłoby dobrze, gdyby nie tamte imieniny mojej siostry – wspomina Antonina B. – Ewelinka miała wtedy 13 lat. Było lato, zmrok zapadał późno, więc przyjaciółka mojej siostry zaproponowała, żeby dzieci bawiły się na dworze. Szwagier wyniósł im stolik ze słodyczami na podwórkę. Wtedy właśnie stało się to najgorsze.

Młodsze dzieci grały w piłkę. Ewelinka i jej cioteczna siostra, które czuły się bardziej dorosłe, nie bawiły się z resztą dzieci. Postanowiły pospacerować i zwierzyć się ze swoich szkolnych problemów. Na ulicy podeszła do nich młoda dawna koleżanka ze szkoły: „Ewelinka? To ty? Niechże cię uściskę, jak ty wyrosłaś! Powiedz jak ci się powodzi? Jak ci się układa z matką? Nie kłócicie się?”

Dlaczego miałybyśmy się kłócić? – spytała Ewelinka zdziwiona. „No bo przecież ona nie jest twoją prawdziwą matką!...” Po tej rozmowie Ewelinka „wyduła” prawdę ze swojej ciotecznej siostry. Od tej pory wszystko nagle się zmieniło: zaczęły się pierwsze ucieczki z domu, pojeżdżanie towarzystwem, dwójce i uwagi w dzienniku. Spytałam ją kiedyś: Ewelinko, dlaczego to robisz? Dlaczego nie może być tak jak dawniej? Co się zmieniło? Przecież cię wciąż tak samo kocham, jestem twoją matką – nie ta matka co urodziła, lecz ta co wychowała! Ale ona w ogóle nie chciała ze mną rozmawiać. „Nie wiem kim jestem” – krzyknęła – „Nie wiem czyja krew płynie w moich żyłach! Może ojca alkoholika, złodzieja i matki prostytutki? – a zresztą lepsza matka prostytutka, ale WŁASNA od porządnej obcej kobiety! Wybuchnęła płaczem i wybiegła z domu. Wte-

dy po raz pierwszy nie wróciła na noc. Myślałam, że oszaleje. Dzwoniłam na pogotowie, na policję, do wszystkich szpitali. Może miała wypadek? Może ją napadli, zgwałcili, zamordowali? – zadreptałam się. Następnego dnia powiadomiono mnie, że Ewelinka jest w Policji. Odebrałam ją stamtąd, znów próbowałam z nią rozmawiać, ale na próżno. Ona się uparła, że chce znać swoich prawdziwych rodziców. Próbowałam jej wytłumaczyć, że prawdziwi rodzice jej nie chcieli, a my ją chcieliśmy i kochaliśmy i że dla mnie nic się nie zmieniło. Nie wiem co będzie dalej. Będę robiła wszystko, żeby Ewelinka skończyła z ucieczkami, żeby znów zaczęła się uczyć, ale czy się uda?... Zaraz po pierwszej ucieczce Ewelinki pojechałam do mojej rodzinnej miejscowości. Poszłam do tej kobiety, która stała się przyczyną mojej tragedii i zadałam jej tylko jedno pytanie: DLACZEGO? Gdyby mi wtedy odpowiedziała: „Bo moja Asia się źle uczy, bo włóczy się po nocach w podejrzanym towarzystwie, bo nie zdała do następnej klasy” – zrozumiałabym. Zazdrość, zawiść można przecież zrozumieć, wybaczyć. Gdyby powiedziała: „Bo mąż mnie rzucił, bo ojciec umarł, bo jestem ciężko chora” – też bym zrozumiała! Ale ona nie powiedziała NIC – i tego nie mogę jej wybaczyć...

* * *

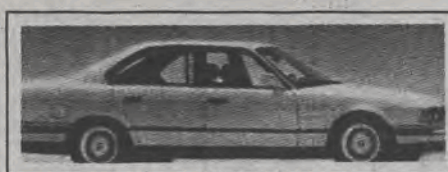
W Ośrodku Adopcyjno-Opiekuńczym przy Towarzystwie Przyjaciół Dzieci w Łodzi dokonuje się rocznie ponad 100 adopcji. Od chwili powstania tego ośrodka tj. od 1974 r. dokonano ich ponad 2 tysiące. W całym kraju istnieją 43 takie ośrodki. W Łodzi adopcje dokonywane są również w Diecezjalnej Poradni Adopcyjnej przy ul. Zgierskiej 121, która działa od marca 1989 r., a która powstała na mocy dekretu ks. biskupa ordynariusza Władysława Ziółka. Diecezjalna Poradnia przeprowadziła do marca 1991 r. ponad 50 adopcji. Do końca 1991 r. ma zostać przeprowadzonych kolejnych 100.

Mgr Maria Strzelecka, kierowniczka Diecezjalnej Poradni Adopcyjnej mówi:

– Dokumenty adopcyjne pozostają w sądzie. Rodzicom wydaje się nowy akt urodzenia dziecka. Kobieta otrzymuje papiery na podstawie których może ubiegać się o urlop macierzyński. Jeśli rodzice sami w przyszłości nie powiedzą dziecku, że było adoptowane, ono samo do tego nie dowie. Osobiście namawiam rodziców, żeby nie ukrywali przed dzieckiem tego faktu. Jeśli jednak zdecydowanie chcą go zataić, to namawiam ich do porzucenia ciąży, zmiany miejsca zamieszkania itp. Ludzie są okrutni, dlatego lepiej, aby nie znali prawdy.

Magdalena Grochowalska

P.S. Imiona i pierwsza litera nazwiska bohaterów zostały zmienione.



Elżbieta K., Polka na stałe mieszkająca w Niemczech, przyjechała odwiedzić w Warszawie dawno nie widzianą rodzinę. W ciągu 20 minut, które spędziła w kawiarni, z ulicy zniknął jej nowiutki pasat kombi.

Każdej nocy w stolicy ginie 25 zachodnich samochodów.

Nie ma dnia, żeby z parkingu przed łódzkim szpitalem Centrum Zdrowia Matki Polki nie ukradziono jakiegoś auta. W najgorszym wypadku złodzieje zadowalają się nowym polonezem.

W zachodniej prasie Polskę określa się jako raj dla kradzionych samochodów.

gorący rynek świata.

12-cylindrowego jaguara z klimatyzacją i skórzaną tapicerką można kupić za 14 tys. marek, mercedesa 300 oraz BMW 325 – za 13 tys., audi 80 – za 12 tys., a volkswagena golfę GTI – za 6650 marek!

Według szacunków Interpolu i zachodnich towarzystw ubezpieczeniowych na terenie Polski znajduje się obecnie 15–20 tys. samochodów ukradzionych za granicą, z czego na makroregion łódzki przypada ok. 2 tys.

Złodzieje wiedzą co kraść

W większości są to samochody produkowane w Niemczech, solidnie wykonane i przystosowane do naszych warunków. Bardzo rzadko łupem padają auta japońskie, natomiast fakt, że pojazd jest charakterystyczny, bardzo drogi i rzadko spotykany na naszych ulicach, przez co łatwiejszy do wykrycia (jak na przykład BMW M3), nie ma żadnego znaczenia. Złodzieje kierują się wyłącznie chęcią zysku, wiedzą, że znajdzie się koneser lub zwyczajny frajer, który połączy się na okazyjnie niską cenę. Często samochody kradzione są na zamówienie, w którym określa się markę, typ, rocznik, kolor karoserii i tapicerki.

Zjawisko nasiliło się w minionej dekadzie, a szczególnie w ciągu ostatnich 3 lat. Mafie działają głównie w dużych miastach, tam, gdzie funkcjonują duże giełdy samochodowe. Najbardziej prężne są w Trójmieście, Kłodawie i Wrocławiu, Koninie i Poznaniu, Łodzi oraz Krakowie.

Kradzież i sprowadzanie zagrabionych za granicą samochodów zajmują się zazwyczaj Cyganie, Polacy mający szerokie kontakty lub na stałe mieszkający na Zachodzie, a czasem również tamtejsi „fachowcy”. W proceder ten zamieszane są nasze służby celne, urzędnicy podatkowi, a także policja.

Madejowa szuka sensacji, a Tomaszewski wygłupia się?

– Napisał pan książkę, co do tego pana skłoniło?

– Kibice, znajomi, przyjaciele, którzy nieustannie pytali mnie, jak to było, gdy grałem w reprezentacji, na mistrzostwach świata i tak dalej. Zamiast ciągle powtarzać to samo różnym ludziom, usiadłem i spisałem wszystko. To był pierwszy powód.

– A drugi?

– Bardzo denerwuje mnie to, kiedy dziennikarze i kibice powiadają, że zawodnicy sprzedali mecz.

– Nie zaprzecz pan jednak, że zdarzają się sprzedane mecze.

– Ale nie przez zawodników. Ich tylko widac na boisku i na nich spada całe odium. Mnie dwa razy zrobiono krzywdę nie przemyślanymi opiniami. Pierwszy raz po eliminacyjnym meczu z RFN do Mistrzostw Europy, kiedy przegraliśmy 1:3 i pół Polski chciało mnie za to powiesić. Drugi raz po słynnym meczu na Wembley, kiedy zremisowaliśmy z Anglią 1:1 – były to eliminacje do Mistrzostw Świata – i pół Polski krzyczało, że „Tomaszewski zatrzymał Anglię”.

– Proszę przypomnieć kiedy to było?

– Pierwszy mecz w 1971 roku, drugi w 1973 roku. I w obu meczach grało po 11 zawodników. A więc nie tylko ja byłem winny przegranej z RFN i nie tylko ja byłem autorem remisu z Anglią. Dlatego chcę teraz tą książką pomóc kibicom, aby lepiej mogli orientować się w tym, co dzieje się na boisku.

– I to są już wszystkie powody?

– No, nie. Ma pani rację. Są jeszcze inne. Pamiętam, że kiedyś w sporcie rządili ci, którzy mieli silne poparcie w PZPR. Dziś – historia się zmienia – rządzą ci, którzy mają poparcie w „Solidarności”. Otóż chciałbym im pokazać błędy, jakie popełniali ich poprzednicy i powiedzieć: – Bądźcie mądrzy! Rzućcie coś za siebie, bo wtedy znajdziecie coś przed sobą! – Chciałbym im pokazać jak błędy działaczy wpływają na postawę zawodników. I jeszcze. Chciałbym przekonać kibiców, że mogą wpły-

wać na swój klub. I pokazać, że sport to przede wszystkim biznes, a biznesu nigdy nie zrobią amatorzy.

– A sądzi pan, że już teraz kibice nie wpływają na klub, choćby przez to, że nie przychodzą na mecze?

– Nie o to chodzi. ŁKS przez ostatnie lata grał przy tysiącu widzów i prosperuje. W różny sposób zarabia się pieniądze i jest fajnie. Ale Widzew już szuka innego rozwiązania. Do Zarządu Widzewa weszli ludzie interesu z pieniędzmi i będą domagali się, aby te pieniądze wydawać tak, żeby były i wyniki sportowe, i dochody. Natomiast w ŁKS nikt nie odczuje skutku finansowego, jak coś się nie uda.

– Panu chyba też proponowano ongiś wejście do Zarządu ŁKS?

– Tak, ale postawiłem wtedy warunek. Zaproponowałem, że w klubie powinna być tylko piłka nożna, tenis i – powiedzmy – koszykówka, a może siatkówka kobiet, bo w Łodzi jest dużo kobiet i może to być nie tylko ich interes. ŁKS ma fenomenalną bazę, którą należy wykorzystywać – powiem to wprost, choć brzmi nieładnie – do „produkcji” zawodników.

– Piłka nożna rozumiem, ale dlaczego wybrał pan tenis?

– Bo jest w stanie sam się utrzymać.

– A dlaczego proponował pan odrzucenie innych sekcji?

– W ŁKS było tak i jest dalej, że wszystko ma priorytet. Pada śnieg, piłkarze nie mogą trenować na boisku, ale również nie mogą w sali gimnastycznej, bo tam trenuje trzech lekkoatletów. Organizuje się turnieje dla znajomych i przyjaciół zawodników. Zaproponowałem na przykład likwidację hokeja i powstał straszny krzyk: – Jak to? W centrum Polski ma nie być drużyny hokejowej? – Ale w Legii – też w centrum Polski – zlikwidowali i świat się nie zawalił. Nie lubię mnie w ŁKS, bo nie kryłem swoich poglądów. A w Zarządzie ŁKS jest ze 25 ludzi i każdy z nich odpowiada za jakąś sekcję, jest wiceprezesem. Gdyby te sekcje zlikwi-

dowano, to część działaczy nie miałaby racji bytu.

– Skąd taki klub miałby brać pieniądze?

– Zabrzmiało to może z pozoru przerażająco, ale ze sprzedaży zawodników. Tak robi się na całym świecie. Istniejące warunki trzeba wykorzystać do szkolenia zawodników i dobrze wyszkolonych sprzedawać do innych klubów. Przy takiej praktyce można mieć silną drużynę własną i pieniądze. A tak, co się dzieje?

Drużyna hokejowa jest w lidze, spada, wraca i tak w kółko. Ja nie jestem przeciwny hokejowi. Ale jeśli już jest i są działacze, którzy się nim opiekują, niech oni poszukają sponsorów i niech zaczną na hokeju robić biznes. Teraz tylko dzieli się pieniądze. Jeśli piłka nożna dostaje 2 miliardy zł, to za tę sumę można dziś kupić tylko jednego zawodnika i to trzeciej ligi. Więc albo dajemy na piłkę nożną 10 miliardów, albo przedstawiamy się bawić w tę grę.

– Czytałam, że chciałby pan zostać prezesem ŁKS?

– Nie! Siebie widzę tylko w roli menedżera, w roli trenera. Żeby być działaczem, mam na to jeszcze czas.

– Menedżer też może być prezesem.

– Nawet powinien. Opowiem pani taką historijkę. Gdy z Leszkiem Jezierskim i Zygmuntem Gutowskim objeżdżaliśmy ŁKS – ja byłem asystentem – to dyrektor Klimowicz zaprosił nas na posiedzenie Zarządu. Drużyna była na fatalnej pozycji i Zarząd powinien był interesować się sytuacją sekcji piłki nożnej. Zarząd też ostro nas skrytykował. Zabrałem głos na końcu. I powiedziałem, że Zarząd może mnie w każdej chwili odwołać, ale skoro jeszcze jestem, to będę robił to, co uważam za stosowne. Członkowie Zarządu znają się na organizacji, ja na sporcie. Na przykład jeden z członków Zarządu – fryzjer zresztą – uważał, że obóz treningowy musi trwać 17 dni, a Leszek Jezierski był zdania, że wystarczy 14 dni. I tak to się toczyło. Stałem się wrogiem członków Zarządu, tylko pan Kaźmierczak, stary działacz podszedł po zebraniu i mi pogratulował.

Inny przykład. Sprzedano Jacka Ziobra za

11 miliardów zł, a ŁKS bał się, że nie dopuszczą go do rozgrywek, bo ma dług. I nie zrobiono żadnego korzystnego transferu. Nic z tego nie rozumiem.

Jeszcze inny przykład. Kiedyś sprzedano Klimasa do Belgii. Mam kopie tych umów. Jedna po francusku, druga po polsku. W umowie sporządzonej po francusku jest warunek, że 22 osoby z ŁKS pojedą do Belgii, gdzie rozegrane będą 3 mecze. Poproszono mnie, abym wyjaśnił, kiedy mogą nas tam przyjąć. Zadzwoń do Włodka Lubańskiego i proś go o wyjaśnienie. Dzwoni Włodek i dziwi się, w tym klubie nic o żadnym przyjeździe nie wiedzą, bo przecież działacze ŁKS wzięli za ten wyjazd pieniądze. W umo-

Nie chcę

Rozmowa reprezentacyjnym

wie sporządzonej po polsku tego warunku nie było. Poczuliśmy się głupio.

Pracowałem w klubach zawodowych i czegoś się nauczyłem. W ŁKS ciągle słyszałem tylko: – Co ty za głupoty wygadujesz!

– I nie się – zdaniem pana – w ŁKS do tej pory nie zmieniło?

– Czekam, aby się zmieniło, ale do tej pory jest tak samo.

– Po remisie ŁKS z Widzewem, przyzna pan, u piłkarzy jakby „coś drgnęło”.

– W moim przekonaniu – wyraźnie to podkreślam: w moim przekonaniu! – jedna jaskółka wiosny nie czyni, a jeden remis, to jeszcze nie sukces. Uważam, że w piłce nożnej wszyscy przegrywają i wszyscy wygrywają. Cała drużyna. To musi być zespół zgrany, tam muszą być pary, które potrafią grać nieomal na pamięć, jak Lubański – Soltysik, albo

Bandy samochodowe

są świetnie zorganizowane. Przewodzą im inteligentni, obeznani z przepisami i obiegiem dokumentów ludzie, nierzadko z wyższym wykształceniem, bogaci właściciele dużych firm o nieskazitelnej opinii. Kierują akcjami zza biurka, nigdy nie dotykając trefnych aut. W razie wypadku stać ich na dobrego adwokata, zapłacenie zabezpieczenia majątkowego, szybkie zatarcie śladów i uciśnienie świadków. Nawet jeśli uda się wykryć przestępstwo, trudno im je udowodnić.

Bezpośrednimi wykonawcami są złodzieje samochodów, kurierzy przewożący auta przez granicę, właściciele cichych warsztatów, złodzieje i fałszerze dokumentów i tablic rejestracyjnych. Łańcuszek kończą okazjonalni i zawodowi paserzy, prowadzący np. biura handlu samochodami, oraz urzędnicy pomagający zalegalizować auta. W zależności od potrzeb, grupy są mniej lub bardziej rozbudowane. Szajka, która miesięcznie kradnie np. 5 mercedesów (a 250 mln zł, sprzedany za 150 mln), zarabia 750 mln zł.

W Hamburgu istnieją trzy

szkoły złodziei.

Dobry fachowiec potrafi rozpracować mercedesa w 30 sekund, na audi potrzebuje około 2 minut (jest to najczęściej kradziony w Polsce samochód, w związku z czym powinien nazywać się „audi-stres”). Zamek w passacie bardzo trudno otworzyć bez uszkodzenia, ale po urwaniu klamki prawdziwy spec upora się z nim przy pomocy palca. Wyrwanie i połączenie przewodów oraz zerwanie blokady z kierownicy to zwykła formalność.

Szanujący się złodziej (w kraju czy na „występach gościnnych”) nie tłucze ordynarnie szyby. Metody dostania się do pojazdu są różne. Klucze można dorobić wykorzystując nieuwagę właściciela lub postój samochodu w warsztacie. Ukłucie korka paliwowego, wypłotowanie klucza, otworzenie drzwi, odpalenie i odjazd trwa niecałe 5 minut.

Innym sposobem jest przywłaszczenie pojazdu z wypożyczalni lub przestępstwo asokracyjne. Złodziej wchodzi w porozumienie z właścicielem auta (zazwyczaj obywatelem, Niemcem pochodzenia polskiego, tureckiego czy jugosłowiańskiego), który pozbywa się wozu za połowę jego wartości. W momencie, kiedy samochód już legalnie przekroczy granicę, właściciel zgłasza jego kradzież i otrzymuje odszkodowanie, za które może kupić nowiutki wóz.

Absolutnym novum są oszustwa dokonywane na zachodnich salonach samochodowych. Wyrafinowani przestępcy legalnie kupują w nich auto, okazując sfałszowany dowód wpłaty, na którym dopisują zera. Tym sposobem za mercedesa wartego 109 tys. marek na konto salonu wpływa 10 marek 90 fenigów. Specjalist-

ką w tej dziedzinie jest 24-letnia Polka na stałe mieszkająca w Niemczech.

Transport przez granicę nie jest problemem.

Przewiezienie auta bez wiarygodnych dokumentów kosztuje 2 tys. marek. Bandy uzyskują papiery wozów, kupując wraki albo fałszując akty własności bądź „fahrzeugbrify”. Indywidualna karta pojazdu rzadko ginie wraz z nim. Jest trudna do podrobienia (papier ze znakami wodnymi i specjalnym włóknom, komputerowy druk), ale w polskich urzędach celnych, izbach skarbowych i wydziałach komunikacji nie ma przyrządów do kontroli ich autentyczności. Nawet policjanci nie znają zasad sporządzania zachodnich dokumentów, choćby takich niuansów jak miejsce, w którym powinna znajdo-

Raj dla złodziei

wać się pieczęć niemiecka, a w którym belgijska.

Kradziony samochód można zarejestrować na dowolną osobę. Policja, poszukując właściciela podejrzanego wozu, trafia m.in. do kobiety, która figurowała w dokumentach jako jego posiadaczka, tymczasem nie stać jej było nawet na rowerek dla dziecka. Innym razem był to niedawno zmarły mężczyzna, któremu kiedyś zginął dowód osobisty.

Fortuna sprzyja auto-mafiom,

dzięki temu, że policja ma trudności ze zdobyciem rzetelnych informacji. Brak jej ludzi, fachowej wiedzy, sprzętu i pieniędzy na opłacenie informatorów. Ignorancja funkcjonariuszy polega m.in. na tym, że kontrolując numery nadwozia, sprawdzają tylko 6 ostatnich cyfr, zamiast całej kombinacji 17 znaków identyfikacyjnych.

Głośny był przypadek oficera z Komendy Stołecznej Policji, który zakupił trefnego pasata GT, uprzednio upewniwszy się, że nie figuruje on w rejestrze skradzionych samochodów. Warszawski taksówkarz domaga się od policji odszkodowania w wysokości 18 mln zł za bezprawne zatrzymanie jego narzędzia pracy na 3 miesiące.

Poza godzinami pracy wydziału komunikacji nie można sprawdzić kto jest właścicielem samochodu, a żeby dotrzeć do rejestru skradzionych na terenie Niemiec pojazdów, trzeba dzwonić do Wrocławia. Formalności, jakie należy dopełnić przed zatrzymaniem, blokadą, czy zwykłym użyciem pałki, związują policję ręce. Groźba ujawnienia byłych konfidentów UB do minimum ograniczyła u informatorów

Dobry fachowiec ukradnie mercedesa w 30 sekund

chęć do współpracy. Niskie pensje także nie są motywacją do energicznych działań. Coraz częściej padają zarzuty korupcji.

Wszystko to powoduje, że ludzie z Zachodu niechętnie przyjeżdżają do naszego kraju z obawy przed utratą swoich aut. Ostatnio.

wierzą w polskie Rambo

– takim mianem tamtejsi dziennikarze określają byłego policjanta, a obecnie prywatnego detektywa Krzysztofa Rutkowskiego, zajmującego się poszukiwaniem zachodnich samochodów skradzionych w kraju i za granicą.

Działania niekonwencjonalne i bardzo zdecydowanie. On i jego chłopcy bywają arogancy

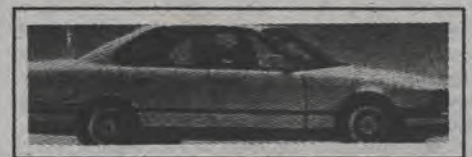
słów krytyki pod adresem policji i Interpolu, stosunki uległy znacznemu oziębieniu. Jeśli kontakty unormują się, Rutkowski jest gotów w miarę możliwości wyposażyć policję w nowoczesny sprzęt i za każdy odnaleziony samochód oficjalnie wypłacać 500 marek.

Zarzuca mu się komercjalizację, to, że interesuje go jedynie przedmiot kradzieży, a nie jej sprawa. „Kiedy złapałem złodzieja i zadzwoniłem na policję – tłumaczy Krzysztof Rutkowski – dowiedziałem się, że po godzinie 15 już nie pracują. Miałem go zamknąć we własnej piwnicy? Miesiąc później złapano go znowu na kradzieży. Gdy zwróciłem się do Interpolu z prośbą o potwierdzenie zaginięcia we Francji dwóch zatrzymanych przeze mnie peugeotów, ktoś zabronił zajmować się tą sprawą. Chciałem się dowiedzieć kto wydał to polecenie, w odpowiedzi usłyszałem „są sprawy, o których nie możemy panu powiedzieć”.

Rutkowski twierdzi, że gdyby dano mu możliwości, mógłby

w pół roku zlikwidować złodziejski proceder.

Małe biuro detektywistyczne odnalazło już 80 skradzionych samochodów. Obecnie trwają poszukiwania 60 następnych. W porównaniu z wynikami policji nie są to może liczby oszała-



mające, ale zważywszy na fakt, że w biurze pracuje tylko 15 ludzi, a w policji cały sztab, są to dobre rezultaty.

Dla Krzysztofa Rutkowskiego nie ma spraw umorzonych. Akcja kończy się w momencie oddania pojazdu prawowitemu właścicielowi. Usługa kosztuje 3 mln zł przy zgłoszeniu i 10 proc. wartości auta w przypadku jego odnalezienia. Biuro zajmuje się również sprawdzaniem tożsamości samochodów i dokumentów. Pobiera za to 2 mln zł, ale daje gwarancję, że w przypadku pomyłki pokryje wszelkie straty związane z nabyciem kradzionego wozu.

Według samego Krzysztofa Rutkowskiego, o jego powodzeniu decyduje chęć do pracy całego zespołu, dobry informatorzy, którym płaci milion zł, ciągły dostęp do baz danych zachodnich policji i towarzystw ubezpieczeniowych (czego bardzo brakuje naszym organom ścigania). Dużą rolę odgrywa też szczęście. Bez niego swoje sukcesy już dawno przypłaciłby życiem.

Beata Kostrzewska
Monika Matuszak

ja z Gorgoniem. ŁKS takiego zespołu nie ma. A co robi trener Łazarek? Testuje zawodników. Rozumiem, że na początku swojej pracy może tak robić, bo chce ich poznać. Ale w nowym sezonie nie można nadal eksperymentować z podstawowym składem. Trener Łazarek, gdy objął reprezentację Polski, wsławił się tym, że co drugiemu zawodnikowi pierwszej ligi kazał zakładać reprezentacyjną koszulkę, przez co zdeprecjonował pozycję reprezentacyjnego zawodnika. I to samo robi w ŁKS.

– Jak pan widzi losy piłkarzy ŁKS?

– Złe. Z pierwszej ligi nie wypadną! Dla mnie pogrzebane są już 4 zespoły: Pegrotour, Sosnowiec, Stal Stalowa Wola i Stal Mielec.

nikogo kopać, ale...

z JANEM TOMASZEWSKIM – bramkarzem

Są to drużyny wyraźnie odstające poziomem od reszty. ŁKS uplasuje się gdzieś na 7 lub 8 miejscu. Bezpiecznie. Tylko że nie o to powinno chodzić. I to jest wina działaczy, którzy tego nie rozumieją. Nie można zbudować wielkiej drużyny bez ambitnego celu: – gra w europejskich pucharach. Bo wtedy są atrakcyjni przeciwnicy, atrakcyjne wyjazdy, zawodnicy pokazują się na zagranicznych boiskach, mogą paść atrakcyjne dla klubu i zawodników propozycje. A tak co? Pan Łazarek mówi, że rezygnuje z transferów, bo nie ma pieniędzy. I opowiada, że ŁKS będzie miał ładną szatnię. To kompletne nieporozumienie! Pamięta pani, jak Widzew budował drużynę?

– Ale w Widzewie był Ludwik Sobolewski.

– Zgoda. Tylko że wówczas ŁKS był klubem hołubionym, popieranym, a Widzew –

jak to powiedział Jan Ciszewski – dzielnicowym. Ale to w Widzewie grał Zbigniew Boniek i cała reszta. Nie mam żalu – choć powinienem – do ŁKS, bo mi ŁKS uratował życie i pozwolił wyrosnąć na Jana Tomaszewskiego – bramkarza, którego ceniono w świecie. Ale – moim zdaniem – działacze ŁKS wówczas zmarnowali szansę, bo mieli w ręku wszystko, aby ŁKS uczynić wielką drużyną. Tymczasem Ludwik Sobolewski, który miał ogromne trudności, aby się wówczas przebić...

– Pamiętam, mówiło się przecież, że po co Łodzi dwie drużyny w pierwszej lidze!

– Właśnie. Ale dlaczego Ludwik Sobolewski przebił się, dlaczego wyprzedził popiera-

– Będzie to zatem książka skandalizująca?

– Może nie tak. Nie mam zamiaru na nikim się odgrywać. Nie chcę nikogo kopać. Są tam tylko przykłady o tym, jak nie powinno być w polskim sporcie.

– Jak będą przykłady, to i muszą być nazwiska. Jakże?

– Wszystkich pani nie wymienię. Będzie na przykład Leszek Jezierski, panowie Loska, Dębicki, Ostas, Jacek Gmoch i inni. Na przykład taka historia. Mistrzostwa Świata w Argentynie, rok 1978. Pytanie zawodników: – Za ile gramy? Odpowiedź pana Loski: – Wygrajcie, a my wam za to – nie bójcie się! Nie mam zamiaru kopać pana Ostasia, który był faktycznym kierownikiem ekipy. Chodzi mi o to, aby pokazać, jak nie wolno postępować, bo przynosi to fatalne zazwyczaj skutki.

– Słyszałam, że domagał się pan od wydawcy sądowego zabezpieczenia. Boi się pan pozwania do sądu?

– Odważyłem się napisać wszystko o reprezentacyjnej piłce nożnej z lat siedemdziesiątych, kiedy sam grałem. Gdy to opowiadam, każdy mówi, że mam rację, że tak właśnie było. Ale jak książka ukaże się i dojdzie do sądu, to nie wiem, jak będzie.

– Kto książkę wydaje?

– Umowy jeszcze nie podpisałem. Wydaje chyba Janusz Świerczyński.

– Zażądał pan 100 milionów honorarium?

– Rozmawiałem z różnymi wydawcami. Z Januszem Świerczyńskim o finansach jeszcze nie rozmawiałem. Trochę orientuję się w cenach. Jak już spaść – to z dobrego konia. To jest książka o dawnej reprezentacji. Jak wypali, to myślę o napisaniu książki o pierwszej lidze. Taki „Piłkarski poker nr 2”.

– Pierwszy, filmowy był zły?

– To była opowieść dla grzecznych dzieci. Komedia. Chcę napisać prawdę. I to będzie tragedia.

– Co zamierza pan robić teraz? Po powrocie z Emiratów Arabskich może pan nie pracować.

– Mogę. Stać mnie na urlop. Ale chcę nadal pracować w sporcie. Oczekuję propozycji z zagranicy, tyle że stawiam pewne warunki.

– Nie myśli pan o trenowaniu reprezentacji?

– Każdy trener o tym myśli. Ale ja już współpracowałem z Andrzejem Strejlaucem i odszedłem, bo miałem konflikt z działaczami PZPN.

– Co to było?

– Pierwsza sprawa, to konflikt z Leszkiem Jezierskim. PZPN ukarał nas obu. Potem było tournée po Stanach Zjednoczonych. Był z nami prezes PZPN – pan Domański. Wracamy i dowiadujemy się, że to trenerzy byli demoralizatorami ekipy. Napisał o tym red. Jagodziński z „Przeglądu Sportowego”. Zażądaliśmy – ja, Andrzej Strejla i Lesław Ćmielkiewicz – wyjaśnień w prasie. Pan Domański powiedział, że nie trzeba. Jeśli mój pracodawca nie broni pracownika, to ja z takiego „magazynu” wychodzę. I wyszedłem.

– Startował pan w konkursie na trenera reprezentacji. Odpadł pan. Czy to nie żal przez pana przemawia?

– Proszę pani, przez 10 lat byłem reprezentantem Polski, 4 lata grałem w klubach zawodowych. Na Zachodzie takich ludzi siłą ciągnie się do sportu. U nas odpycha. Andrzej Szymanowski – świetny niegdyś obońca – ukończył studia AWF, jest trenerem i dla niego nie ma pracy w PZPN. To nie jest tylko jeden przykład.

Studiowałem na AWF i robiłem pracę dyplomową. Poszedłem do dr. Talagi i zaproponowałem, że napiszę, jak ja – w oparciu o własne doświadczenia – widzę całoroczny trening bramkarza. Dr. Talagi to nie interesowało. Poszedłem więc do Instytutu Medycyny Sportu, wzięłem kilka prac, to i owo poprzepisowałem i dostałem piątkę. Więc komu potrzebne jest moje doświadczenie? A wie pani jak ten wywiad zostanie odczytany? Niektórzy powiedzą: – Madejowa szuka sensacji, a Tomaszewski wygłupia się!

– Zobaczymy!

Rozmawiała:
Bogda Madej



Muzyczny serwis

Z kraju:

● XXXIII Międzynarodowy Festiwal Jazzowy „Jazz Jamboree” odbędzie się w Warszawie w dniach 24-27 października. Spodziewane gwiazdy to m.in. supergrupa w składzie Herbie Hancock /Wayne Shorter/ Stanley Clarke / Omar Hakim.

● I Krajowe Targi Fonograficzne „Digiton'91” odbędą się w dniach 26-28 września w auli Politechniki Warszawskiej. W imprezie będą uczestniczyć handlowcy i producenci płyt gramofonowych, kompaktowych, kaset magnetofonowych, muzycznych wydawnictw i kaset video.

● „Polskie Nagrania” wydały płytę kompaktową Mieczysława Szczecińskiego „Niby nowy”.

● Nakładem firmy „Polton” ukazała się pierwsza płyta kompaktowa grupy DDD pt. „DDD”. Ta sama firma wydała również nowy krążek Jacka Skubikowskiego „Piosenki z różowej scenki”.

● W wieku 76 lat zmarł Józef Balcerak założyciel i wieloletni redaktor naczelnicy miesięcznika „Jazz”. Pierwszy numer pisma ukazał się w marcu 1956 r. i było to pionierskie wydawnictwo o tej tematyce w Europie Wschodniej.

Ze świata:

● Popularna grupa Jethro Tull nagrała nową płytę „Catfish Rising”, którą promuje singel „This Is Not Love”. To już dwudziesty krążek w karierze tej formacji.

● Na nowej płycie Arethy Franklin „What You See Is What You Sweat” gościnnie śpiewają Michael McDonald i Luther Vandrossa.

● Shinedead O'Connor dostała propozycję zagrania Kate w „Wichrowych wzgórzach”.

● Album tria Wilson Phillips „Wilson Phillips” to najlepiej sprzedawana płyta nagrana dotychczas w USA przez żeński zespół. Do tej pory sprzedano ponad 5 mln egzemplarzy. Trio tworzą siostry Carnie i Wendy Wilson oraz Chynna Phillips.

● „Guaranteed” to tytuł nowej, nagranej po dłuższej przerwie płyty grupy Level 42. Lider grupy Mark King zaprosił do nagrania tego albumu dwóch znanych gitarzystów – Allana Holdswortha i Dominickę Millera.

● Pierwsze miejsce na rockowej liście przebojów „Billboardu” zajmuje utwór „Runaround” grupy Van Halen, pochodzący z albumu „For Unlawful Carnal Knowledge”.

● Ukazała się nowa koncertowa płyta B. B. Kinga „Live At The Apollo”. W jej nagraniu wziął udział jazzowy big band The Phillip Morris Superband z muzykami tej klasy, co Kenny Burrell, Ray Brown, Gene Harris czy James Moody.

● Mick Jagger zakupił sportowy model Ferrari 288 GTO za... 2 miliony dolarów.

A.W.

Nowości płytowe

DAVID BYRNE – The Forest
CHINA – Go All The Way
MARC COHN – Marc Cohn
CRIMSON GLORY – Strange And Beautiful
NEIL DIAMOND – Love Escape
MYLENE FARMER – L'autre
ARETHA FRANKLIN – What You See Is What You Sweat
KELLY ANN KEEDY – Chase The Clouds
B. B. KING – Live At The Apollo
MARKY MARK AND THE FUNKY BUNCH – Music For The People
OMAR – There's Nothing Like This
PHRANC – Positively Phranc
PROCOL HARUM – The Prodigal Stranger
RUNRIG – The Big Wheel
ETTA SCOLO – Io vivo
SMASHING PUMPKINS – Gish
TIN MACHINE – Tin Machine II
TRIBE AFTER TRIBE – Tribe After Tribe
TOM WAITS – The Early Years
VANESSA WILLIAMS – The Comfort Zone
JOHNNY WINTER – Let Me In

MTV, największa na świecie stacja, która prezentuje videoclipy, przyznała – jak co roku – własne nagrody. Uroczystość wręczenia MTV Music Video Awards odbyła się 5 września w Los Angeles i zgromadziła całą czołówkę twórców i wykonawców, których działalność na przestrzeni ostatniego roku była najbardziej interesująca.

Aż sześcioma nagrodami obsypano teledysk „Losing My Religion” grupy R.E.M., który został uznany m.in. za najlepszy clip roku. Otrzymał także nagrody za montaż i reżyserię. Tarssem – twórca tego teledysku – został reżyserem roku.

W kategoriach solistka i solista roku wygrali Janet Jackson – „Love Will Never Do (Without You)” i Chris Isaak – „Wicked Game”. Ten ostatni clip został uznany również za najlepsze video z filmu. Wyróżnienie za najlepszą choreografię otrzymał Jamale Graves, współtwórca teledysku „Gonna Make You Sweat” grupy C & C Music Factory, uhonorowanego również w kategorii najlepszego video tanecznego.

KULTURA

Najlepszym nowym artystą wybrano grupę Jesus Jones i videoclip „Right Here, Right Now”. W kategorii metal/hard rock nagrodę zdobył teledysk „The Other Side” zespołu Aerosmith. Madonna musiała zadowolić się jedną nagrodą za muzyczną kasę video „The Im-

Nagrody

maculate Collection”. Szczególnie wysoko cenną nagrodę specjalną – Video Vanguard Award – otrzymała grupa Bon Jovi i twórca jej klipów Wayne Isham.

Pretendentów i zwycięzców poszczególnych kategorii przedstawiali – na wzór wręczenia filmowych Oscarów – znani artyści filmu i estrady, m.in. Linda Hamilton, Cher, Cindy Crawford, Lenny Kravitz, James Brown, Dennis Hopper. Wszyscy robili to na luzie, dowcipnie,

czasami niekonwencjonalnie, a nawet szokująco, jak np. Billy Idol, który kopertę z nazwiskami zwycięzców wyciągnął z... rozporzecz.

Uroczystości wręczenia nagród towarzyszyły występy specjalnie zaproszonych gości, m.in. Mariah Carey, Pauli Abdul, Dona Henley'a zespołów Van Halen, Metallica i Queensrÿche oraz Prince'a. Dzięki łączom satelitalnym można było też obejrzeć występy grup EMF i Guns N'Roses z Londynu. Szczególnie interesująco zaprezentowali się Mariah Carey – obecnie biała wokalistka nr 1 na świecie – oraz Prince, który wykonał utwór „Gett Off” ze swojej nowej, jeszcze nie wydanej płyty „Diamonds And Pearls”. Artysta zaprezentował ekstrawagancki strój estradowy, w którym spodnie były pozbawione materiału na pośladkach. Grupa Guns N'Roses udowodniła że jest w bardzo dobrej formie, a wszystkich zaskoczyła swoją wersją utworu Paula McCartney'a „Live And Let Die”.

Andrzej Woszczyk

30 pytań do...



Hirek Wrona w środku

HIREK WRONA – dziennikarz muzyczny III programu PR (Radio-Mann, Zapraszamy do Trójki, Trójka pod księżycem), stały współpracownik „Listy” oraz Agencji Reklamowej MM.

Stan cywilny, dzieci: Żonaty, bezdzietny.

Wychowany zawod: Prawnik.

Zwierzęta domowe: Nie mam.

Samochód: Trabant

Ulubiona potrawa i napój: Ryż przyrządzany po chińsku. Woda.

Kolor: Czarny.

Hobby: Sport – koszykówka, tenis stołowy, piłka nożna.

Zalety: Nie mam.

Wady: Mnóstwo, np. mam problem z poprawnym wyrażaniem się po polsku.

Największy życiowy sukces: Bramka strzelona z rzutu wolnego z około 35 metrów podczas meczu Trójka – Radio „S”.

Hej Kociaki!

Witamy Was dzisiaj jeszcze bardziej ciepło i serdecznie niż kiedykolwiek. Obiecaliśmy Wam prawdziwą atrakcję – oto ona. Zrobiliśmy wśród fanów Jacka Wójcickiego ankietę pod hasłem: kogo słucham z polskich wykonawców? Odpowiedzi były bardzo różne, m.in. I. Santor, M. Durecka, VOX, Kombi, M. Bajor, J. Kaczmarski, E. Blaszczyk. Z tych wszystkich nazwisk wyłonił się pięć najpopularniejszych. Czołówka wygląda tak:

1. Beata Kozidrak i BAJM, 2. Seweryn Krajewski i Czerwone Gitary, 3. Małgosia Ostrowska – Lombard, 4. Izabella Trojanowska, 5. Kora – Maanam.

Nie wiem czy jest dla niektórych zaskoczeniem, ale zdecydowaliśmy się pokrótce przybliżyć sylwetki naszych ulubionych wykonawców. Od dziś będziemy się z Wami spotykać w trochę innej formie. Rusza maszyną...

BEATA KOZIDRAK. Zadebiutowali rodzinna formacja na Festiwalu Polskiej Piosenki w Opolu. Ich słoneczna piosenka „Piechota do lata” śpiewana była przez wszystkich niezależnie od wieku. Następne również osiągnęły sukcesy – kto dziś nie pamięta „Józka” czy wdychającej Beaty na pustyni?

W pewnym momencie komus z wyższego stopnia nie spodobały się teksty pisane przez Beatę. Została tym samym złą odtwórczynią i po prostu bezczelna klubowa piosenkareczka. Okres ten trwał bardzo długo, lecz wytrwałość wręcz zadziwiająca pozwoliła Beacie wyjechać na tournée za ocean. Tam bez żadnego cenzora wyśpiewała swoje piękne kwiaty i w ciągu jednego wieczoru stała się bożyszczem amerykańskiej Polonii (i nie tylko).

Kiedy polskie władze dowiedziały się o nagrodach, które spadają na Beatę za granicą jak deszcz, postanowiły zrobić jej jakiś koncert w kraju. Miało to być sprawdzenie, w jaki sposób publiczność przyjmie grupę

Największa życiowa porażka: Było ich wiele, ale staram się o nich nie pamiętać.

Co cię najbardziej śmieszy: Benny Hill.

Co cię najbardziej denerwuje: Nieporadność Polaków. Oczekują na cud zamiast wziąć się do pracy.

Gdzie chciałbyś spędzić urlop: W Miami na Florydzie.

Marzenia: Pojechać w muzyczną podróż po Stanach Zjednoczonych: Nowy Jork – delta Missisipi – Los Angeles – San Francisco – Chicago.

Osoba, której najwięcej zawdzięczasz: Grzegorz Brzozowicz.

Postać, którą podziwiasz: Wojciech Fibak.

Ideal kobiety: Moja żona.

Ulubione programy TV lub radiowe: Transmisje sportowe, ale bez polskiego komentarza, nie mam ulubionych programów radiowych.

Najchętniej czytane tytuły prasowe: „Gazeta Wyborcza”, „Wprost”, „Vox” i „Q”.

Ulubieni pisarze: Stefan Żeromski i Albert Camus.

Ostatnio przeczytana książka: „100 najsłynniejszych budowli świata” Antoniego Piskadły.

Ulubieni aktorzy: Jean Louis Trintignant, Alain Delon i Marlon Brando.

Ulubione filmy: „Czas Apokalipsy” Francis Ford Coppola i „Lot nad kukiełczym gniazdem” Milosa Formana.

Ostatnio obejrzany film: „Predator II”.

Preferowany rodzaj muzyki: Amerykańska muzyka fusion, soul, funky oraz acid jazz.

Ulubieni wykonawcy: Red Hot Chili Peppers, Soul II Soul, Fishbone, The Waterboys, U2, Happy Mondays.

Obejrzany koncert nr 1: Red Hot Chili Peppers, 6 czerwca 1990 r. w Brixton Academy w Londynie.

Zdecydowanie nie słuchasz: Symfonicznego rocka.

Dewiza życiowa: Nie poddawać się.

Pytał:

Andrzej Woszczyk



BAJM. Oczywiście to było wiadome – wręcz fizyczne trzymanie artystki na scenie, całowanie jej stóp było kolejnym szokiem dla „światka”.

Beata Kozidrak została zaproszona do Sopotu. Zdobyła tam nagrodę! Od tego czasu dobra passa sprzyja zespołowi BAJM. Najnowszy album „Biała armia” rozchodzi się jak woda w sklepach, również trzy pirackie wydania tej kasy trudno uchwycić u ulicznych handlarzy. Tytułowa piosenka przez prawie rok znajdowała się na czołowych miejscach list przebojów.

Beata na scenie staje się wręcz niepowtarzalnym wampem, w życiu prywatnym jest za to kochanym i wrażliwym człowiekiem. Jej dewizą jest ugruntowane życie rodzinne – często w wywiadach mówi, że bez tego egzystować nie potrafi.

Zegnamy Was dzisiaj. Następnym razem przedstawimy Seweryna Krajewskiego.

Monika Kulesza

Łódzki Centralny Fan-Club Jacka Wójcickiego „Corrida”
93-038 Łódź, ul. Sanocka 27/13

Poeta z rylcem

W Galerii Łódzkiej Muzeum Historii Miasta Łodzi, która chwałę nie ogranicza się do pokazywania tylko twórców miejscowych, od 10 września br. jest prezentowana kolejna wystawa artysty spoza Łodzi – po plakatach Stasya Eidrigewicza oraz pracach graficznych artystek z Katalonii Antonii Vila i Rosy Tarruel-la, można obejrzeć interesujący przegląd grafiki Zbigniewa Dolatowskiego z Warszawy. Ramy tej wystawy, godnej polecenia wszystkim miłośnikom i ludziom podatnym na dyskretny urok kameralnych form grafiki, wyznaczają: „Dziewczynka”, praca wykonana w 1951 r. w technice suchej igły i najnowsze, nawiązujące do klasycznej grafiki japońskiej, kompozycje z 1991 r. „Ogród” i „Szumary”, będące odbitymi strukturami drewna uzupełnionymi linorytem. A zatem jest to przegląd dorobku 40 lat pracy artysty.

Dolatowski długo był wierny technice druku wypukłego, czego przykładem mogą być poka-



zane na wystawie cykle: „Kruki” (dyktoryty z lat 60.), kompozycje o tematyce sportowej (linoryty z lat 70.), piękna, oparta na motywach biblijnych seria linorytów z 1981 r. „Stworzenie świata” aż po cykl „Z lektury Pisma” (linoryty, 1986 r.). Od kilku lat z powodzeniem swoje przedstawienia, jak się wydaje ulubionych przez artystę, motywów biologicznych (rośliny, owady, ptaki, muszle) Dolatowski realizuje także w technikach włósnodrukowych, takich jak: mezzotinta i sucha igła. Niezależnie jednak od rozwiązań warsztatowych bez trudu we wszystkich pracach tego twórcy można odnaleźć skupioną wrażliwość, która pozwala mu, bez natrętności formalnego, budować nastroj lirycznej zadumy i niezbyt częstej we współczesnej sztuce gotowości dostrzegania okrucich piękna odnajdywanego w codziennym kontakcie człowieka z przyrodą.

Dolatowski jest poetą posługującym się rylcem i długim i być może dlatego właśnie wiele jego prac jest wręcz impresjami lirycznymi. Zresztą jego grafiki często towarzyszą bibliofilskim wydaniom wierszy Jana Kasprowicza, Konstantego I. Gałczyńskiego, Władysława Broniewskiego czy Bolesława Leśmiana (te ostatnie w mieckim przekładzie Karla Dedeciusa, wydane przez oficynę Aldus-Press Reichenek).

Uwagę koneserów pięknych książek zwracają na wystawie linoryty Dolatowskiego będące ilustracjami tomików z miniaturowej serii wydawanej przez WAF, m.in. P. Louysa „Zmierzchnim”, Chaucera „Opowieści kanterberyjskich”, Alkifrona „Listów heter” oraz wydawnictw bibliofilskich publikowanych przez Towarzystwo Przyjaciół Książki w Warszawie i Muzeum im. Przyjaciółskich w Jędrzejowie.

Dopelnieniem ekspozycji są inicjały, przerywniki, druki okolicznościowe, znaki i drobne graficzne. Do tych ostatnich należy zaliczyć ekslibrisy, których na wystawie Dolatowski pokazał kilkadziesiąt. Zasluguje ona na szczególną uwagę, bowiem w nader udany sposób łączy w sobie walor oszczędności i własnościowego książka i jednocześnie finezyjnie opracowanej, często dowcipnej miniaturowej graficznej. Na te kiepskiej amatorszczyzny, jaka opanowała współczesny ekslibris, małe drzeworyty i linoryty Zbigniewa Dolatowskiego są pięknym przykładem jak grafika użytkowa może być jednocześnie dojrzałą formą wypowiedzi artystycznej.

Jestem przekonany, że dostępna do oglądania we wrześniu i październiku wystawa będzie wydarzeniem, które sprawi radość nie tylko przeciętnym bibliofilom oraz kolekcjonerom i miłośnikom małych form grafiki.

Grzegorz Matuszak



Podsluchane podpatrzone odnotowane

Obsceniczna Madonna

„W łóżku z Madonną” to najnowszy, głośny film z najbardziej bulwersującą postacią światowego rocka – MADONNA. W prasie polskiej pojawiły się recenzje: „Marny film, ale za to fakt kulturowy dający bardzo wiele do myślenia. Generalnie nieprawdziwy, nieszczerzy film o osobie, która na siłę próbuje być naturalna, film smutny jak spowiedź notorycznego kłamcy, żenujący jak uroczyste zaręczyny córki Koryntu” – napisał Piotr Wojciechowski na łamach „Filmu”.

Wiadomo, że Madonna jest postacią skandalizującą gdzie się tylko da i zależy jej na własnie takim wizerunku w mass mediach. Dziś dla Czytelników rubryki fragmenty wyjątkowo bulwersującego wywiadu z Madonną, którego niedawno udzieliła amerykańskiemu czasopismu „The Advocate”.

– Czy naprawdę jesteś tak kiczowatą osobą, jak się pokazuje?

– Co masz na myśli mówiąc kiczowatą? Czy to, że podnieca mnie dwóch, całujących się facetów? Czy to, że podnieca mnie, gdy wyobrażam sobie siebie kochającą się z inną kobietą, podczas gdy obserwuje nas inną kobietą, czy mężczyzną? Czy to jest kiczowate? To, że przedstawiam życie w jakiś sposób nie znaczy, że robię te wszystkie rzeczy. To są rzeczy, które chcę pokazać.

– Co myślisz o sztucznych członkach?

– Nie interesują mnie.

– A inne zabawy dla dorosłych?

– Ja lubię ludzkie ciało, to, co żyje i oddycha. Może to być palec. Nigdy nie miałem wibratora, jeśli chcesz wiedzieć.

– Opowiedz o swoim chłopaku – Tony'm Ward. Czy to prawda, że ma ekstra tyłek?

– Tak, to prawda.

– A jak duży jest jego fiut?

– Nie wiem, nigdy go nie mierzyłam, ale jest wystarczająco duży jak dla mnie.

– Jak oceniasz to, że pozwól do czasopism dla homoseksualistów?

– Czuję coś w rodzaju kumpelstwa. Zrobiono mu te zdjęcia, kiedy był młody i potrzebował forsy. To samo było ze mną. Pomyślałam sobie: „Mój Boże, wreszcie ktoś, kto zrozumie, jak się czuję”.

– A Twój poprzedni chłopak, Warren Beatty ma duży?

– O tak. Bóg jeden wie, ile razy Tennessee Williams próbował go poderwać. Kiedyś był pięknością, a i teraz jest bardzo przystojny.

– Nie mam pojęcia, czy kiedykolwiek spał z facetem, ale na pewno nie jest homofobem. Zapytałam go kiedyś, czy nie przespałby się z mężczyzną? A on powiedział, że żałuje, że nie zrobił tego kiedyś, ale teraz z powodu AIDS nie



jest najbezpieczniejsze eksperymentowanie w tym zakresie.

– Czy nie udzieliłaś mu małej lekcji „bezpiecznego seksu”?

– Nie. Wiesz, jeśli ja mam dawać Warrenowi Beatty lekcje „bezpiecznego seksu”, to do kąd zmierza ten świat?

– Powiedz mi coś o swojej przyjaciółce Sandrze Bernhard?

– Sandy jest kochaną dziewczyną. Jest jedną z niewielu przyjaciółek. Jedną z nielicznych, które mogą mnie znieść. Większość dziewczyn chowa się pod łóżkiem, my wyganiamy wszystkich z pokoju.

– Czy spałaś z Sandrą?

– Na początku to był flirt, ale później zdałam sobie sprawę, że mogę mieć naprawdę przyjaciółkę w Sandrze i chciałam zachować tę przyjaźń. Kiedy poszliśmy na show Davida Lettermana, nie było jeszcze wiadomo, co z tego wszystkiego wyniknie. Ale Sandra zaczęła żartować, że jesteśmy kochankami, a ja pomyślałam – OK, świetnie – zobaczymy co z tego wyniknie. Uwielbiam oszukiwać ludzi.

– Więc jeśli tylko miałam być detonatorem tej bomby, oczywiście nie zastanawiałam się. To było naprawdę zabawne. Nie ma znaczenia czy jestem lesbijką, czy spałam z nią. Jeśli ludzie czują się lepiej myśląc, że spałam, to niech tak myślą. Właściwie wolę, żeby tak myśleli. Chciałoby po to, żeby wiedzieli, że ta dziewczyna, której płyty wszyscy kupują, liłała czyjaś cipkę. I już.

Redaguje:

Bohdan Gadomski

Gala w operze

Co prawda tegoroczny budżet Teatru Wielkiego w Łodzi wojewoda Waldemar Bohdanowicz obciął o 25 procent i teatr nie ma pieniędzy na realizowanie zaplanowanych premier (a podobno także i na pobyty dla pracowników), a mimo to 7 września, na jednej z największych scen w kraju odbył się „Galowy wieczór operowy – zapowiedzi sezonu 1991/92”.

Jak się okazało, można kontynuować pomysł Sławomira Pietrasa na składanki operowe bez jego udziału. „Niezastąpionego” dyrektora-prezentera zastąpił nie mniej elokwentny Lucjan Kydryński, który jednak zbyt szorstko scharżował swoją manierą estradową i mylił się, ale jakże elegancko poprawiał się i przeproszał. Ciekawy i pożyteczny okazał się nowy pomysł zaproszenia nie tylko za dyrygencki pulpit, ale i na proscenium, przed kurtynę dyrygentów przygotowujących poszczególne pozycje repertuarowe, co przybliżyło twórców muzycznych spektakli.

Najbardziej frapuje nas aktualna kondycja wokalna łódzkich śpiewaków, na których głosach opiera się nie tylko poziom galowego wieczoru, ale i repertuar teatru. Szkoda, że usłyszeliśmy tylko nielicznych spośród blisko 70-osobowego grona solistów, bowiem warto poznać dyspozycje nie tylko odtwórców premierowych przedstawień. Satisfakcjonuje jak zwykle wspaniały, ciemny sopran spintowy (z koloraturą) Krystyna Rorbach (już na pełnym etacie w Łodzi), której chciałoby się słuchać częściej. To dopiero będzie fascynująca Manon Lescaut! Zdumiał i urzekł coraz dojrzalszy

Bohdan Gadomski

JAROMIR JEDLIŃSKI, historyk sztuki, urodzony w 1955 roku w Poznaniu, absolwent Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu i Courtauld Institute w Londynie, mianowany został dyrektorem Muzeum Sztuki w Łodzi, z którym związany jest od początku swej drogi zawodowej.

Jaromir Jedliński jest wybitnym specjalistą w dziedzinie sztuki najnowszej i współczesnej, autorem wielu polskich i zagranicznych prezentacji jej najwybitniejszych twórców i dzieł. Wśród czterdziestu wystaw, jakie przygotował sam, najważniejsze to prezentowane w Łodzi wystawy monograficzne: „Michael Kidner” i „Andrzej Szewczyk”, eksponowana w Muzeum Akademii Sztuk Pięknych wystawa „Miejsca rzeźby”, przygotowana dla publiczności budapeszteńskiej ekspozycja dzieł Marka Chlanda, a także szereg wystaw niemieckiego artysty Josepha Beuysa oglądanych przez widzów Łodzi, Warszawy, Krakowa, Lublina, Budapesztu i – aktualnie – Tokio. Jaromir Jedliński ma znaczący udział w wystawach organizowanych przez Muzeum Sztuki za granicą.

Sztuka ponad wszystko

rozmowa z Jaromirem Jedlińskim, nowym dyrektorem Muzeum Sztuki w Łodzi

– Jest Pan najmłodszym dyrektorem spośród tych, którzy kierują wielkimi muzeami. Na tle naszych dotychczasowych przywódców Pańska droga zawodowa jest prawdziwie błyskotliwa i błyskawiczna kariera.

– Gdy w „gorącym” 1980 roku, w dwa miesiące po ukończeniu studiów przyjechałem do Łodzi, by podjąć pracę w kierowanym przez Ryszarda Stanisławskiego Muzeum Sztuki, które fascynowało mnie zarówno swą historią, wspaniałymi zbiorami, wyjątkową, światową wręcz rangą, otwartością na wszystko co nowe oraz działalnością o prawdziwie międzynarodowym charakterze i zasięgu, jak i niezwykle osobowością jego dyrektora, nie przypuszczałem, iż kiedykolwiek dane mi będzie kierować tą instytucją.

– Jakie znaczenie przypisuje Pan sztuce?

– Sztuka jest ponad wszystkim. Jest wartością samą w sobie. Jest celem i środkiem jednocześnie. W niej jest nasze człowieczeństwo, los i dramat istnienia. Sztuka jest doskonałością, która nie poddaje się próbom łatwego definiowania. Jest najdoskonalszym językiem, jakim ludzie mogą porozumiewać się ze sobą.

– Świadomość i znajomość tego języka nie jest jednak powszechna.

– Oczywiście jest więc potrzeba istnienia pośrednika i miejsca, gdzie twórca i dzieło prezentują się najpełniej. Poszczególne aspekty działalności każdej placówki muzealnej, a więc gromadzenie, opracowanie, badanie i eksponowanie zbiorów, służą realizacji owego nadrzędnego celu. Sprzyjają wykonaniu zadania, które postawili przed sobą „muzealnicy” – ludzie tak dalece oswobodzeni ideą sztuki, że ich pasja bliska jest powołaniu, a praca wymaga poświęcenia całego czasu i energii. Nasza energia także musi być twórcza, by obu stronom dialogu przyniosła pełne zadowolenie.

– Jaka satysfakcja jest udziałem „pośrednika”?

– Od niego zależy klimat owych spotkań artystów i ich dzieł ze spektatorami. Pośrednik poszerza krąg poznania, kształtuje upodobania adresatów sztuki, pobudza wrażliwość, analizuje, bada, dokumentuje i utrwała to, co najcenniejsze. Jest więc animatorem życia artystycznego i kreatorem wielu zjawisk. Jego życie w sztuce staje się samodzielnym bytem artystycznym.

– Które z działań podjętych przez muzeum wcześniej chciałby Pan kontynuować jako jego dyrektor?

– Twórcą tego muzeum przyświecała idea prezentacji rozwoju sztuki od czasów najdawniejszych po dzień dzisiejszy. Od idei tej, realizowanej z powodzeniem przez blisko już sześćdziesiąt lat, z pewnością nie odejdziemy. Chciałbym, by publiczność poznawała wszystkie składniki naszej kolekcji, by częściej zmieniały się elementy stałej ekspozycji i wystawy

czasowe. Nadal gromadzić będziemy i prezentować wszystko to, co najbardziej wartościowe, niezależne i bezkompromisowe w sztuce współczesnej. Mam nadzieję na dalszy stały rozwój kolekcji sztuki nowoczesnej przez wzbogacanie jej o dzieła artystów uznanych i odkrywanie nowych, ale dojrzałych artystycznie twórców i dzieł sztuki najnowszej. Chciałbym, by gromadzone przez nas dzieła poznawała w jeszcze szerszym niż dotychczas zakresie jeszcze szersza publiczność w innych krajach. Już w styczniu 1992 roku w Muzeum Sztuki Współczesnej w Gandawie zaprezentujemy pozostające w naszych zbiorach rzeźby Katarzyny Kobro, którym towarzyszyć będą prace pięciu współczesnych polskich rzeźbiarzy spoza naszej kolekcji. Niebawem dzieła z naszej kolekcji eksponować także będziemy w Lyonie.

– O jakie nowe formy chciałby Pan wzbogacić działalność muzeum?

– Myślę o powołaniu instytutu badawczego sztuki współczesnej. Będziemy także organizatorami poświęconych jej seminariów, sesji

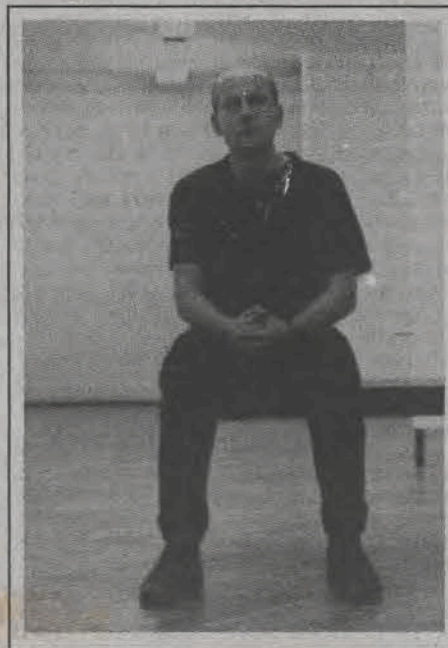


Foto: Monika Jeziorowska, Paryż

sympozjów i konferencji. Mam nadzieję, że uda nam się w większym niż dotychczas stopniu zainteresować naszą działalnością środki masowego przekazu. Raz bądź dwa razy w miesiącu zapraszaliśmy publiczność na spotkania z wybitnymi artystami. W wielu szkołach prezentować będziemy nasze wystawy dydaktyczne.

– Łodzie przyjemnością wspominają organizowane tu niegdyś „Niedziele w muzeum”.

– Chętnie poszerzylibyśmy wachlarz naszych propozycji, bo pomysłom nam nie brakuje. Będziemy się starali dostarczać wszystkim bywalcom naszego muzeum jak najwięcej powodów do głębokich satysfakcji, jakie daje kontakt z żywą, wielką sztuką. Brakuje nam jednak środków na pokrycie kosztów i przestrzeni, by pokazać wszystko co mamy. Nie brak nam natomiast wiary w lepszą przyszłość, w to, że nasze centralne, zwłaszcza finansowe, władze wkrótce przyznają kulturze i sztuce należne jej miejsce w budżecie. Powołanie zaniebawiania w sferze kultury są na ogół nieodwracalne. Państwo musi uchronić od nich społeczeństwo. Zastrzegając sobie prawo do selekcji, musi pokrywać koszty tego, co niezbędne, potrzebne, wartościowe.

– Gratulując nominacji, życzę wielu sukcesów i dziękuję za rozmowę.

Rozmawiała:
Ewa Pankiewicz

Rara et curiosa

„Gwarantowana” pocztówka

Ostatnio została wydana pocztówka równie ładna co ciekawa. Pokazuje bowiem nieistniejący budynek a właściwie odwrotność budynku istniejącego. Ten metafizyczny efekt uzyskano odwracając negatyw zdjęcia, dzięki czemu lewa strona stała się prawą i odwrotnie.

To politycznie ryzykowne posunięcie opatrzone informacjami z których żadna nie jest prawdziwa. Jeśli bowiem przyjąć budynek przedstawiony na pocztówce za pałac Poznański to: 1 – architektem widocznego obiektu nie jest H. Majewski tylko A. Żelickson, 2 – nie jest on wybudowany w 1888 a w 1903 roku. Nazwano pałac „Domem Aukcyjnym I. K. Poz-

nańskiego”. To też ciekawe. Równie dobrze można było go nazwać Łazienkami Poznańskimi, bo tak jak giełda tak i łazienki znajdowały swe miejsce w pałacu, w którym poza tym właściciel po prostu mieszkał.

Podobnie jak ja bawi się zapewne autor zdjęcia, pan Włodzisław Małek, twórca wielu pięknych fotografii naszego miasta. O nasze dobre humory zadbała instytucja „Gwarant” z siedzibą w Łodzi przy ul. Jaracza 42. Ożywczy powiew kapitalizmu mać niektórym nieco w głowach. Czyżby szok kulturowy?

M. B.

17.09.1939. W Kowlu była już Czerwona Armia

Rozpoczynamy druk fragmentów pamiętnika jednej z niedoszłych ofiar Katynia w opracowaniu prof. dr. Stefana Leleństwa. Materiały te, nigdzie dotąd nie publikowane, nadesłano nam ze Stanów Zjednoczonych.

Ulica ciągnął się sznur wozów, samochodów, oddziałów różnych rodzajów broni. Wszystko zmierzało w stronę Kowla, aby wyjść na szosę do Włodzimierza Wołyńskiego.

U wjazdu do Kowla cała kolumna wojsk i taborów została zatrzymana przez płk. Mariana Bolesławicza, zastępcę dowódcy O. K. IV, który postanowił wysłać przedstawicieli do dowództwa bolszewickiego dla pertraktacji o przepuszczenie naszej kolumny przez miasto. Pojechał jakiś pułkownik (nazwiska nie pamiętam), mjr Szczeciński i ja, samochodem sztabu. Do połowy miasta stały posterunki oraz krążyły patroli, dalej widać było żołnierzy sowieckich. Samochód nasz został zatrzymany przez posterunek bolszewicki – jakiś oficer wsiadł na stopień samochodu i pojechaliśmy do dowództwa, które mieściło się w gmachu Komendy Policji. Na ulicach tłum ludzi – przeważnie Żydów i różnych oberwańców. Czerwone kokardy u mężczyzn i kobiet. Nad głowami czerwone transparenty z napisami: „Niech żyje Stalin”, „Niech żyje Czerwona Armia”, „Precz z kapitalistami i obszarnikami” itd.

Weszliśmy do gmachu, w którym rozgościł się sztab sowiecki. W pokoju na pierwszym piętrze siedział za biurkiem major Czerwonej Armii w niebieskim płaszczu oficerskim. Wstał, przywitał się z każdym z nas, poprosił siadać, wyciągnął szufladę od biurka, wyjął z niej rewolwer (duży nagan) i położył przed sobą. Zaczęła się rozmowa, która trwała około pół godziny. Stało się na tym, że nasze oddziały do godz. 6 wieczór tegoż dnia opuszczają miasto, względnie przeciągną przez miasto z bronią i z całym sprzętem – w kierunku na Włodzimierz, zaś bolszewicy nie będą czynić nam żadnych przeszkód.

Wróciliśmy do płk. Mariana Bolesławicza i po zameldowaniu mu o wynikach rozmowy, rozpoczął się przemarsz naszych oddziałów i taborów.

Nocleg mamy w dużej wsi, na pół drogi między Kowlem i Włodzimierzem. Spaliśmy na wozach. Rano dowiadujemy się, że Włodzimierz zajęty przez bolszewików – pod miastem stoi rzekomo cała brygada czołgów. Wysłano parlamentarzysty – czekamy na ich powrót z niecierpliwością, aż do późnego wieczoru. Wreszcie przyjeżdżają – wiadomości są fatalne. Bolszewicy żądają złożenia broni i poddania się. Oficerowie i żołnierze mają być zwolnieni natychmiast. Dowództwo nasze nie zgadza się, płk Marian Bolesławicz sam jedzie pertraktować. Stoimy we wsi drugą noc.

Po jego powrocie jesteśmy wezwani na odprawę. Wobec sytuacji bez wyjścia zawarta została umowa z bolszewikami we Włodzimierz. Mamy złożyć broń we wsi Werba oraz oddać wszelki sprzęt wojсковy, po czym mamy być zwolnieni i otrzymać przepustki od władz sowieckich, które rzekomo zajęły już cały Wołyn, Polesie i Małopolskę Wschodnią. Dyrektywy naszego dowództwa są takie, żeby następ-

nie małymi grupkami kierować się do granicy rumuńskiej.

22 IX rano wyruszamy do Werby i przybywamy tam wieczorem. Nastrój ludności wiosek, przez które przechodzimy jest niechętny, a nawet często wrogi. Dotyczy to oczywiście ludności ukraińskiej, ludność polska (zresztą niewielka) jest przerażona i przynębiona. Noc spędzamy w Werbie, rozłokowawszy się dość wygodnie. Kupiłem dla oddziału dużego wieprzka i kilka gęsi, i nazajutrz zjedliśmy dobry, syty obiad. Resztę pieniędzy skarbowych, jakie mi pozostały, rozdzieliłem między oficerów i szeregowych. Jak się okazało wbrew zapewnieniom bolszewickim ostatni był to obiad na wolności. Po wczesnym obiedzie wyciągnęliśmy kolumnę naszych wozów na trakt włodzimierski. Pół kilometra za wsią widać było po obydwu stronach drogi samochody i czołgi so-

mieście soczystych przekleństw prowadzą w kierunku stacji. Jesteśmy we władzy milicji czerwonej, złożonej z różnych miejscowych mętów społecznych, Ukraińców i Żydów. Na szosie zatrzymują nas i pada komenda: – *Oddać zegarki!* – Wyciągają mi zegarek z kieszeni.

Nadjeżdża konno podoficer sowiecki i przygląda się tej scenie. Zwracamy się do niego o interwencję. Wykazał doskonałą przytomność umysłu, kazał oddać sobie zegarki i najspokojniej odjechał zapewniając nas, że otrzymamy je z powrotem w sztabie. Tyle go widzieliśmy.

Zaprowadzono nas do Komendy Miasta, do tego samego gmachu, w którym przed trzema dniami prowadziłem pertraktacje z bolszewikami. Tu przetrzymano nas kilka godzin, spisano nazwiska i wreszcie odprowadzono do więzienia. A więc tak wygląda umowa z bolszewikami, zamiast Rumunii – kryminal.

Najpierw rewizja – obszukano nam wszystkie kieszenie, kazano zdejmować ubranie, zabrano wszystkie pieniądze, zegarki, biżuterię. Zabrano mi wówczas około tysiąca złotych, ze-

Bolszewickie słowo honoru

wiekie oraz grupę oficerów, do których nasza kolumna zbliżała się powoli.

W grupie oficerów bolszewickich widać naszego majora z białą opaską na rękę. Oddziały jedne za drugimi składają nieliczną broń; większość kolumny stanowią bowiem tabory, szpitale, różne ośrodki itd. Bolszewicy ładują zdobycz na wozy – okropny widok, ale trzeba zaciśnąć zęby i wykonać rozkaz: Oddział mój posiadał zaledwie kilkanaście jakichś starych karabinów. Po oddaniu broni jedziemy dalej naszymi podwodami, ale już wśród gęstych posterunków i patroli sowieckich. Co chwila zatrzymują nasze wozy i chcą szperać, rzekomo w poszukiwaniu broni, a właściwie żeby coś zagrabić. Zabrali nam kilka gęsi, pół worka cukru, parę koców itd.

Do Włodzimierza zostało 7 km. Dojechalismy do miasta o zmroku. Pod miastem ujrzałem wielką ilość czołgów oraz dużo piechoty. Zabrano nam wozy i konie, a następnie otoczono nas oddziałem piechoty i zaprowadzono przez miasto do Komendy. Tam wyszedł do nas jakiś major bolszewicki, wygłosił dłuższą przemowę polityczną, sławiąc ustrój komunistyczny i potęgę Sowietów i wreszcie oświadczył, że jesteśmy wolni, że mamy się udać na dworzec kolejowy, gdzie otrzymamy przepustki i pojedziemy „dokąd kto chce”. Uwierzyliśmy (o święta nawierności) i udaliśmy się na stację, zresztą już bez „honorowej eskorty”. To wycofanie konwoju zdawało się potwierdzać, że major mówi prawdę. Na peronie czekaliśmy długo. Po kilku godzinach sformowano pociąg towarowy z dwoma wagonami osobowymi dla oficerów i oświadczone nam, że pociąg jedzie do Kowla, gdzie jak wiadomo jest duża stacja węzłowa i skąd uruchamiane są już pociągi w różnych kierunkach. Uwierzyliśmy po raz wtóry.

Pociąg zatrzymał się przy wjeździe do Kowla. Nagle drzwi wagonu otworzyły się z hukiem i wpadło kilku oberwańców z bagnietami na karabinach i z czerwonymi opaskami na ramieniu z okrzykiem: „Oficery wyleźcie!” Jest nas 18. Ustawiają nas parami i przy akompania-

garek (drugi, jaki miałem przy sobie, pożyczony od por. Rawickiego w Łodzi, gdyż mój źle chodził), sygnet, jak również walizkę z bielizną i innymi drobiazgami. Zostawiono mi tylko mundur, który miałem na sobie, płaszcz i koc. Z tym dobytkiem zamknięto mnie wraz z dziesięcioma kolegami do maleńkiej celi, w której ledwie mogliśmy się zmieścić. Przesiedzieliśmy w niej dwie doby, śpiąc na zmianę na czterech siennikach, które się tam znajdowały i które zajmowały całą podłogę. Do ubikacji prowadzono nas wszystkich razem rano i wieczorem, ściśle na 15 minut, co było bardzo przykre.

Okno zakratowane gdzieś pod sufitem, drzwi zamknięte na żelazne sztaby. Obiad złożony z jednego dania – jakaś obrzydliwa polewka z kaszą jaglaną i kawałek chleba, rano i wieczór jakiś brunatny płyn zwany kawą. Po dwóch dniach przeniesiono nas do celi większej, w której znaleźliśmy się w większym gronie – około 30 oficerów, podoficerów i szeregowców z różnych oddziałów i rodzajów broni. Tu było trochę luźniej, za to brak zupełny sienników – spaliśmy na gołej podłodze, co wówczas wydawało mi się wielkim dramatem. W ciągu wielu tygodni, nawet miesięcy, zupełnie się do tego przyzwyczaiłem.

Przychodzili do nas różni przedstawiciele władz: naczelnik więzienia (dawny więzień polski, szpieg Sowietów, w tym więzieniu przebywający), prokurator wojskowy i inni. Zapewniali nas, że to jest tylko czasowe zatrzymanie, że po sprawdzeniu naszych dokumentów, za parę dni, będziemy wypuszczeni na wolność.

Po tygodniu wyprowadzono nas z więzienia. Grupę naszych jeńców około 200 oficerów i żołnierzy otoczono wojskiem i zaprowadzono na stację. Tam załadowano wszystkich do czterech wagonów towarowych, wydano każdemu po bochenku chleba, zamknięto wagony, ustawiono wartę i po kilku godzinach ruszyliśmy w nieznane.

Witold Prus-Kączkowski



Kresy Wschodnie

Kroniki ruskie wspominają Braclaw już w XII wieku. Stanowił wtedy jedno z ogniw łańcucha osiedli, za którymi były już „Dzikie Pola”. W XVI wieku zbudowano w Braclawiu warowny zamek. Należał wtedy Braclaw – po odebraniu w 1331 roku Podola Tatarom – do Wielkiego Księstwa Litewskiego i był stolicą Podola Litewskiego. Na południu od twierdzy przebiegał szlak tatarskich najazdów i to powodowało potrzebę wzmocnienia warowni. Zamek obrastał domami i w XV wieku nastąpił szybki rozwój tego kresowego miasta. Natomiast otaczająca warownię Braclawszczyzna była słabo zaludniona – na 1 km kwadratowy przypadało od 3 do 4 osób.

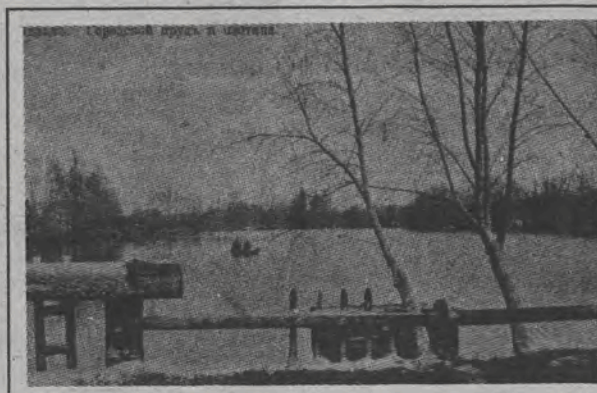
W 1478 roku Braclaw oblegli Tatarzy. Miasto zostało doszczętnie spalone, ale zamku nie zdobyto. Nim miasto odbudowano, nastąpił w 1541 roku bunt mieszczan, podczas którego zniszczono to, co już odbudowano.



W 1552 roku Zygmunt August nakazał wybudowanie nowego warownego zamku, a herb miasta otrzymał wizerunek św. Piotra Apostoła.

Przełomowe znaczenie dla dalszego rozwoju Braclawszczyzny miała Unia Lubelska z 1569 roku. Ziemię Braclawską razem z Kijowską i Wołyńską przyłączono do Korony. Braclaw stał

BRACŁAW



się stolicą województwa, które składało się z trzech powiatów: braclawskiego, winnickiego i zwinogrodzkiego. W 1590 roku sejm pozwolił królowi Zygmunutowi II na rozdawnictwo ziem i wtedy rozpoczęło się zasiedlanie kresów. W początkach XVII wieku w województwie braclawskim na 1 km kwadratowym mieszkało 16 osób, a w całej Rzeczypospolitej – 20 osób. Prawie dwie trzecie ludności województwa braclawskiego mieszkało w ufortyfikowanych osadach. Łączna liczba ludności Braclawszczyzny w połowie XVII wieku sięgała 400 000.

W drugiej połowie XVII wieku pojawiło się ponowne zagrożenie tatarskie. Wtedy to, w 1671 roku, hetman Jan Sobieski rozbił pod Braclawiem liczne zagony tatarskie. W roku następnym w granice Rzeczypospolitej wkroczyła armia turecka pod wodzą sultana Mahometa IV. Spustoszenie Podola, zdobycie Kamieńca Podolskiego, doprowadziło do zawarcia w 1672 roku upokarzającego traktatu w Buczaczu. Ziemia Braclawska znalazła się pod władzą turecką. W 1674 roku udało się wprawdzie Janowi III Sobieskiemu odzyskać część Ukrainy. Król na okres zimowy zatrzymał się w Braclawiu, ale był to sukces przejściowy i miasto ponownie wróciło pod panowanie tureckie. Taki

Dalej były już tylko „Dzikie Pola”

stan rzeczy trwał do 1699 roku. Wtedy to bowiem Turcja oddała Polsce Podole, Braclawszczyznę i północną część Ziemi Kijowskiej.

Wiek XVIII przyniósł Ziemi Braclawskiej powstania chłopów i kozaków. W 1750 roku w województwie braclawskim zniszczono 27 miast, co stanowiło połowę istniejących, oraz 111 wsi – 10 procent Ziemi Braclawskiej.

W maju 1768 roku doszło do wybuchu powstania chłopskiego – koliszczyny. Chłopi pod wodzą Maksyma Zeleźniaka i Iwana Gonty niszczyli dobra szlacheckie, mordowali szlachtę i Żydów. Doszło do rzezi w Humaniu. Powstanie sfłumiły solidarnie występując – co się rzadko zdarzało – wojska rosyjskie generała Piotra Kreczennikowa i polskie hetmana Ksawerego Branickiego.

Ostatnia dekada XVII wieku – to stopniowy upadek Braclawia. We wrześniu 1791 roku przebywał w Braclawiu przez pewien czas Tadeusz Kościuszko ze swoim sztabem.



W wyniku drugiego rozbioru Polski w 1793 roku Ziemia Braclawska wcielono do Rosji. Braclaw stał się powiatowym miastem guberni podolskiej. Dziś jest to osiedle w obwodzie winnickim.

Zenon J. Michalski

Confexim – Market spółka z o.o.
zaprasza Miłych Klientów do nowo otwartego
Domu Handlowego
„TEOFIL”

od poniedziałku do piątku w godz. 8-20.00 w soboty w godz. 8-16.00

Nasz Dom Handlowy jest wizytówką Firmy!!!

Na 1200 metrach kwadratowych powierzchni sprzedaży oferujemy Państwu

**importowaną i krajową odzież
o europejskim standardzie**

sprzedawaną w systemie samoobsługowym.

Klient sam sobie wybiera, sprzedawczyni tylko doradza.
Jedną trzecią powierzchni zajmują stoiska tradycyjne, m.in.

**z artykułami gospodarstwa domowego,
galanterią, zabawkami i upominkami
dywanami i firankami,
sprzętem elektronicznym, zegarkami itp.**

Prowadzimy także stoisko sezonowe:

we wrześniu – artykuły szkolne

Uwaga Klienci!

W „Teofilu” obsługuje Was 46 najlepszych ekspedientek
wybranych spośród 600 kandydatek!



Trafny wybór

Rozmowa z prezesem spółki
„Confexim-Market”, **BOGDANEM PIOTROWSKIM**

– W styczniu br. wygraliście konkurs ofert na prowadzenie Domu Handlowego „Teofil”, który był poprzednio we władaniu „Otexu”. W kwietniu rozpoczęły się prace adaptacyjne, zaś w sierpniu gruntownie wyremontowany „Teofil” otworzył swe podwoje dla klientów. Jak to możliwe: takie tempo w Polsce?

– Ależ spóźniliśmy się! Zakładaliśmy, że otwarcie nastąpi już w maju, po miesiącu przygotowań. W tym czasie zdążyliśmy wymienić sieć elektryczną i wodociagową, urządziliśmy nowe szatnie dla pracowników, całkowicie zmieniliśmy wystrój wnętrz, wykładziny itp. Prace te wykonały firmy z Polski. I nie one zawiodły, tylko kontrahenci z Zachodu, którzy spóźnili się z dostawami wyposażenia...

– Co to znaczy: dom handlowy o podwyższonym standardzie?

– Rzeczywiście, używamy tego określenia w stosunku do nowego „Teofila”. Oznacza ono przede wszystkim możliwość większego wyboru spośród krótkich serii określonego asortymentu, różnorodnych nie tylko pod względem wzorniczym i kolorystycznym, ale także gatunkowym, a zatem i tanich, i droższych. Słowem: dla każdej kieszeni. Nie należy więc kojarzyć tego określenia z towarami wyłącznie luksusowymi. Chyba że rozumiemy przez to ich wysoką jakość, bo towarów o niskiej jakości z zasady nie sprowadzamy.

Mieliśmy też pomysł na sprzedawcę: musi być taki, aby nauczył polskiego klienta dokonywać trafnego wyboru w obliczu nie spotykanej wcześniej w Polsce obfitości towarów. Na tym przecież polegają zakupy. Obowiązuje zasada: nie wmuszać niczego na siłę, doradzić, co jest dobre, a co zdecydowanie nie pasuje. Pomóc w doborze fasonu i koloru. Oczywiście, ważne jest w związku z tym odpowiednie emploty i przygotowanie fachowe ekspedientki.

Kto inny może sprzedawać bieliznę, kto inny – sprzęt elektroniczny. Przykłady właściwej obsługi, również w sensie wyglądu stoiska, wystroju itp., staramy się czerpać z krajów Zachodu. Najlepsze sprzedawczynie będą tam sukcesywnie wysyłane, aby podpatrzyły i „ściągnęły” stamtąd wszystko, co może nas przybliżyć do Europy.

– Czy dla klientów „Teofila” będzie coś „ekstra”?

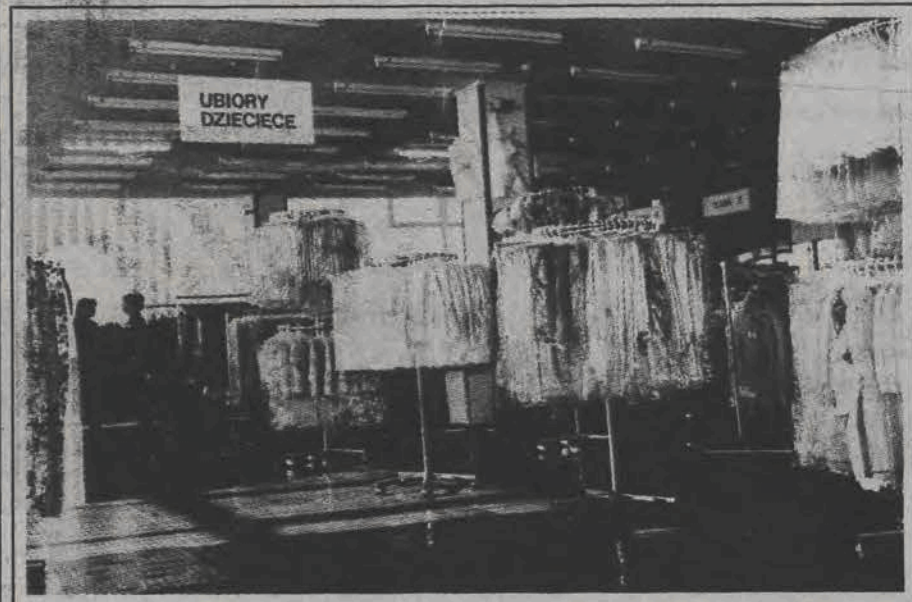
– Owszem, szykujemy niejedną niespodziankę. Już wkrótce ustawimy na sali kosze z towarami tzw. niegwarancyjnymi, ale za to w atrakcyjnej cenie. Przygotowujemy się także do promocyjnej sprzedaży „towaru dnia”. Wprowadzimy również szczególnie atrakcyjny dla klientów system promocji – kilka razy w miesiącu ogłosimy wysoką, lecz tylko jednodniową obniżkę ceny określonych towarów. Jakich, i kiedy – to właśnie będzie niespodzianką. Wszystko zaś po to, aby klient zdobył przekonanie, że warto odwiedzać nas jak najczęściej. Podobnemu celowi służyć będą pokazy z modelkami i modelkami – prawdziwe minirewie na obszernej klatce schodowej, tuż obok stoisk.

– Jakże są wasze plany na dalszą przyszłość?

– Mamy plany całkowitej, powiązanej z sobą komputeryzacji: hurtowni, składu celnego, detalu i księgowości. Przyniesie to pełną orientację w przebiegu zamówień i sprzedaży, słowem: umożliwi permanentny remanent. Aby przyspieszyć obsługę klientów przy kasach, wprowadzimy identyfikację towarów za pomocą tzw. kodu kreskowego. System został już opracowany – specjalnie dla „Teofila”. Nie są to jednak wcale plany odległe. Sądzę, że przed końcem roku zostaną zrealizowane.

– Dziękuję za rozmowę.

AG



Confexim – Market spółka z o.o.

stawia również do dyspozycji Szanownych Klientów:

● **Hurtownię** – jedną z największych w Łodzi o łącznej powierzchni magazynowej 4 tysiące metrów kwadratowych

Nasza hurtownia oferuje Państwu niebywałą okazję:

- sprzedaż chińskich koszul bawełnianych (100 procent bawełny) w cenie sprzed dwóch lat!
- okazijną sprzedaż najtańszych w Polsce piżam!
- w przygotowaniu – posezonowa wyprzedaż odzieży letniej, m.in. kostiumów kąpielowych, bielizny, podkoszulków, koszul, spodni, sukienek – importowanych m.in. z Chin, Danii i Francji. Wysoka obniżka cen!!!

● **Usługi eksportowo-importowe**

- importujemy odzież i galanterię uzupełniającą do hurtowni i na zlecenie. Terminy dostaw bardzo krótkie: od 2 tygodni do miesiąca. Zawsze są dotrzymywane!!!

● **Skład celny**

Zapraszamy do naszej nowej wzorcowni przy
ul. Brukowej 8 od października 1991

Nasz adres:

Dom Handlowy „Teofil”
Łódź, ul. Aleksandrowska 38
sprzedaż detaliczna, hurtowa, usługi importowe

tel. 52-71-60, 52-71-65,
fax 55-71-39, tlx 88-51-62
Baza magazynowa i skład celny
Łódź, ul. Brukowa 8,
tel. 51-55-16, magazyn nr 5



NAJTAŃSZĄ REKLAMĘ, SZYLD, ITP.

wykonasz samodzielnie kupując u nas

ZESTAWY LITER SAMOPRZYLEPNYCH!

- Bogaty zestaw kolorów
- Różne rozmiary i kroje
- Łatwy montaż

Sprzedaż hurtowa i detaliczna:

ŁÓDŹ, ul. Żwirki 17, tel. 36-42-44 w. 154
ul. PRZYBYSZEWSKIEGO 197/205, tel. 81-86-16

W SKLEPACH TYCH KUPISZ NAJTANIEJ
 WSZYSTKIE MATERIAŁY POLIGRAFICZNE

iG
intercommerce

ŁÓDŹ

for Businessmen

BB DANIO

Łódź, Sienkiewicza 3/5
 tel. 33-88-17; fax. 33-05-78
 tlx. 884221; od 8.00 do 16.00
 wszystkie soboty od 9.00 do 15.00

Sprawdź bo stracisz!
dla BIUR I SKLEPÓW

- nowoczesne MEBLE z Danii i Włoch
- niezbędne KRAJALNICE spożywcze
- najtańsze KALKULATORY Citizen, Casio
- niespotykane SYSTEMY PREZENTACJI CEN
- najnowocześniejsze FAXY, CEN. TELEF. Hyunday
- rewelacyjnie tanie WYKŁADZINY PODŁOGOWE

& Babies

ŚMIESZNY sklepik „CLOWN”
oraz HURTOWNIA

swoim asortymentem rozbawi i CIEBIE
 Artykuły do robienia żartów:

- znikający atrament
- brudzące mydło
- kaszląca popielniczka
- cukierki niespodzianki
- wesołe lusterka
- duży wybór masek
- karty do gry, z którymi na pewno wygrasz
- oraz inne straszne lub śmieszne artykuły

DLA ODWAŻNYCH
I WESOŁYCH

WEJDŹ! SPRAWDŹ! KUP!
 PRZEKONAJ SIĘ SAM!
 „ŚMIECH TO ZDROWIE – BAW SIĘ
 RAZEM Z NAM!”

U NAS KUPISZ NAJTANIEJ
 Znajdziesz nas w drugim podwórzu
 przy ul. Piotrkowskiej 69
 tel. 32-68-61 – sklep
 32-40-01 – dom

Kto spełni Państwa najskrytsze życzenia?

TYLKO RESTAURACJA
NOWA EUROPA

Al. Kościuszki 118

CZYNNA CODZIENNIE w godz. od 12 do 5 rano

- DRINK BAR z dużym wyborem napojów alkoholowych i nie tylko
- KAWIARNIA czynna w godz. od 10⁰⁰ do 22⁰⁰
- DANCING w godz. od 21⁰⁰ do 4⁰⁰ rano
- PROGRAM ARTYSTYCZNY – STRIPTEASE
- ORGANIZUJEMY bankiety, przyjęcia weselne

tel. 36-88-95

BIURO USŁUG
TURYSTYCZNYCH

JANOSIK

90-361 Łódź, ul. Piotrkowska 270, XIV piętro, pok. 1404
 tel. 84-70-24, 81-02-11 w. 474, 196, fax 81-59-27

PROONUJE

- WŁOCHY: 11 dni, objazdowa, autokarowa, cena: 1,5 mln zł + 145 USD (wyżywienie własne)
- JAPONIA: 13 dni, w tym 8 dni w Niiagacie, cena: 6,5 mln zł + 250 USD (wyżywienie własne)
- CHINY: 12 dni, w tym 6 dni w Pekinie, cena: 6,5 mln zł + 240 USD (świadczenia)
- INDIE: 13 dni, w tym 8 dni w Delhi, cena: 6,5 mln zł + 170 USD
- USA – KANADA – MEKSYK – WYSPY BAHAMA: 10, 14, 18 dni, ceny: 1700 – 2200 USD
- TURCJA: 3 dni w Istambule, cena: 1,2 mln zł
- PARYŻ: 3 dni, w tym licytacja samochodów z możliwością zakupu, cena: 2,5 mln
- PARYŻ: przejazdy autokarowe: 690 tys., 990 tys.
- OSLO: przejazdy autokarowe: 1,7 mln
- ZAKOPANE: terminy dowolne, pełne wyżywienie, cena: 70 tys. zł za dobę od osoby

ZAPRASZAMY

REKLAMA SKUTECZNA
TO REKLAMA W „ODGŁOSACH”

WYJAZDY DO ANGLII

i z powrotem

- TANIO ● WYGODNIE
- MINIBUS z domu do domu

Tel. Łódź 15-46-15

SOBIERADEK

94-042 Łódź, ul. Florecistów 1 (Retkinia), tel.: 86-42-54

- glazura i terakota mrozoodporne (import Włochy, Szwajcaria)
- boazerie i listwy
- okucia meblowe i budowlane
- płyty laminowane, wiórowe i pilśniowe
- meble kuchenne i ogrodowe
- farby, lakiery i tapety
- narzędzia i elektronarzędzia
- maszyny do obróbki drewna
- sprzęt instalacyjno-sanitarny
- usługi cięcia płyt
- urządzenia do odświeżania powietrza – jonizatory

Godziny otwarcia: od poniedziałku do piątku 10.00-18.00

TELEGAZETA

W TWOIM TELEWIZORZE
MONTAŻ DEKODERÓW TELEGAZETY

w odbiornikach TV produkcji polskiej i zachodniej, m.in.:
 SONY, SANYO, PANASONIC, SAMSUNG, ROYAL, ULTRAVOX, TOSHIBA i wielu innych

Proponujemy również adaptację zachodnich telegazet
 do odbioru znaków polskiego alfabetu

J.W. ELECTRONICS

Łódź, ul. Serenady 5a tel. 48-80-15

USŁUGI

- KORESPONDENCYJNY kurs matematyki egzaminy do szkół średnich 42-25-86 Łódź
- TŁUMACZENIA (ustne, i pisemne, także przysięgi) – szybko, tanio, fachowo. Stowarzyszenie Tłumaczy Polskich, Łódź, Wschodnia 32 tel. 33-65-80
- INSTALACJE co. i wod. kan. tel. 86-00-79
- HYDRAULIK 32-19-46
- MYCIE okien, 81-33-13
- NAPRAWA magnetowidów, 57-55-80
- ŻALUZJE, 51-39-58 Skrzypiński
- „CONTRA” – montaż drzwi stalowych, krat 84-59-57
- DOMOFONY – Tesla tel. 37-27-19
- TAPICERSTWO 74-64-25
- DZIURKI, guziki 81-01-43
- TELENAPRAWA, dekodery 87-22-64 Bałuty
- KOLKI – wstrzeliwanie tel. 42-32-60
- ŻALUZJE różnokolorowe, rolety importowane gwarantowanej jakości, Ciesielski, 34-82-60, 43-42-79
- PRALKI automatyczne – naprawa 87-71-43 (8-10)
- TRANSPORTOWE 55-64-91
- WYSZCZUPLANIE sylwetki 32-24-37
- BLACHARSTWO, mechanika samochodowa 55-79-55
- ANTENY satelitarne tel. 15-69-31, 15-18-01
- GOBELINY na zamówienie – art. plastyk tel. 32-65-08
- GOBELINY na zamówienie – art. plastyk tel. 55-12-06
- PRACOWNIA plastyczna poleca usługi ul. Zachodnia 101 (w podwórzu) Piotrowski tel. grzech. 32-32-77
- ELEKTROINSTALACJE, naprawy, pomiary tel. 36-21-04 po 16
- AUTO-HIT – części – Opel, Mercedes, VM, Audi Łódź-Górniki ul. Piotra Skargi pawilon 60 tel. 34-38-86
- LAMINOWANIE A-1, A-4 ekspresowo tel. 32-32-77
- RADIO Taxi Caro – czynne całą dobę tel. 36-39-39
- ORGANIZUJĘ kursy angielskiego w przedszkolach 43-62-16
- POSIADAM żuka-skrzyniowca Konstant. Łódzki ul. Niesiecin 30
- CALLANETICS, aerobik dla pań 33-58-29
- WYNAJEM dobrze wyposażonych sal na sesje, narady, szkolenia, kursokonferencje 33-98-00 w. 246
- LEKARZ pediatra – wizyty domowe dr. Miller tel. 31-90-13
- SPRZĘT RTV – szeroki wybór, atrakcyjne ceny ul. Niemcewicza 24 tel. 84-67-35
- KURSY jęz. angielskiego tel. 33-98-00 w. 320
- TOWARZYSTWO Taksówkarzy Łódzkich Radio Taxi tel. 919 czynne całą dobę
- ZAKŁAD usług pogrzebowych Pabianicka 216 tel. 81-09-15 oferuje trumny już od 450.000 zł
- CHIŃSKA terapia, qi-gong, akupunktura, ćwiczenia oddechowe, psychoterapia 43-96-90
- SZYCIE ubiorów, art. plastyk 33-33-89
- NAJTANIEJ w Polsce! Montaż domków letniskowych, kompleksowa obsługa Śląska 32 Maćczak
- CZYSZCZENIE wykładzin i dywanów 11-26-52
- MONTAŻ boazerii, pawlacze, szaf, zabudowy – gwarancje, rachunki 51-78-68
- MONTAŻ boazerii, pawlacze – rachunki 55-68-90
- CZAPNICHTWO ul. Piotrkowska 19 (w podwórzu) od 10-18
- KRATY drzwi stalowe Lecznica 1/7 m 32a
- ZESPÓŁ wokalo-instrum. wesela, bankiety tel. 48-64-30
- AGENCJA reklamowo-wydawnicza „GRAF” pracownia Zachodnia 101 (w podwórzu)
- ASP „Puchatek” poleca swoje usługi 32-72-35
- „GLOB – System” Przedsię-

biorstwo Usługowo-Handlowe Ekspert import Iwonna Radz Inflancka 37/39 57-61-77

- „GLOB – Trans” atrakcyjne wycieczki zagraniczne ceny konkurencyjne Piotrkowska 65
- USŁUGI plastyczne, plastycy, projekty i wykonanie tel. 36-24-49 J. Bystry, P. Pożycki, Piotrkowska 36
- KANCELARIA Usług Prawnych MAJ-PAL, spółka z o.o. Łódź ul. Wielkopolska 37 m 17 tel. 57-84-32

KUPNO

- OBLIGACJE 78-47-21
- OBLIGACJE 78-58-83
- MASZYNY szwalnicze – stębnówki, overlocki i inne specjalistyczne kupię, Łódź 14-35-07
- MOŻE masz Stradivarius lub inny dobry instrument lutniczy? Kupię tel. 32-42-18
- KUPIĘ okazjnie fforda transita 81-31-06
- KUPIĘ okazjnie domek z działką w okolicach Tuszyńska tel. 81-31-06
- KUPIĘ maszynę elektryczną do pisania 52-68-60 godz. 17-19
- KUPIĘ mieszkarkę do ciasta Brydżowa 13
- KUPIĘ opła asconę rekord rok 1980 do 84 tel. 51-78-74
- KUPIĘ eseje Camusa 43-62-16

SPRZEDAŻ

- ZDROWOTNE maty bambusowe na fotele samochodowe. Firma TOBIK Tuwima 15 tel. 32-46-62
- SPRZEDAM poloneza rok 1988 cena 25 mln tel. grzech. 32-32-77
- SPRZEDAM poloneza rok 1987 cena 30 mln stan idealny tel. 32-16-07
- FIAT 1500 karoseria 1989 silnik po remoncie cena 15 mln tel. 36-57-81 18-20
- SPRZEDAM działkę warzywno-owocowo-kwiatową cena 20 mln tel. 51-68-45
- SPRZEDAM laminatory i folię USA A-3.8.750.000, A-4 7 mln tel. 32-32-77
- MASZYNĘ do pisania walizkową nową tanio sprzedam, cena 2.900 tys. tel. 43-74-30
- SPRZEDAM grób gębinowy Kraków cmentarz Rakowice cena 25 mln tel. 51-68-45
- NAJTANIEJ! Kupisz „Kuchnię Państwa Środka” K. Pospieszynskiej cena 18 tys. 33-98-00 w. 320
- PREPARATY Tolpy cena 250 tys. Intermed Pabianicka 218
- SPRZEDAM segment „Nowa Łódź” cena 2.500 tys. tel. 55-74-62
- SPRZEDAM silnik FSO Fiat 1500 cena 3 mln 55-74-62
- SPRZEDAM fiata 126p 1980 silnik 1989 cena 7 mln 81-46-89
- SPRZEDAM fiata 125p 1984 cena 13 mln 500 tys. tel. 51-78-74

NAUKA

- ANGIELSKI korepetycje przygotowanie na studia 33-87-56
- KURSY nauki gry na gitarze dla młodzieży 33-63-80
- RYSUNEK malarstwo przygotowujące młodzież na studia wyższe tel. 33-63-80 godz. 12-16
- KURSY fotograficzne dla początkujących i zaawansowanych tel. 33-71-15 godz. 12-18

LOKALE

- SPÓŁDZIELCZE M-3 w Poznaniu zamienię na równorzędne w Łodzi tel. 84-28-58
- ZAMIENIĘ trzypokojowe 52 m² telefon na większe (bloki) tel. 57-97-58
- ZAMIENIĘ dwa pokoje kuchnia 38 m² na większe 87-20-84
- WARSZAWA M-2 oraz Łódź M-1 (telefon) na Warszawę bloki tel. 84-42-16
- M-3 własnościowe na M-6 tel. 43-74-30

- M-2 bloki, M-2 stare budownictwo na większe tel. 42-90-59
- M-4 komfortowe z umeblowaniem, wyposażeniem, boazerią sprzedam cena 350 mln ul. Rzgowska 79 (wiadomość w sklepie)

Poszukuję lokalu

w centrum Łodzi o powierzchni do 50 m² na gabinet kosmetyczny ☎ 84-92-07

PRACA

- MĘŻCZYŻNA z samochodem poszukuje pracy po godz. 15 tel. 81-73-94
- PODEJMIĘ pracę chałupniczą oprócz szycia tel. 74-54-00
- MŁODA kobieta poszukuje pracy Kasprzaka 64 m. 14 Jadcak
- ZATRUDNIĘ lastrykary, betoniarzy do zakładu nagrobkowego tel. 34-34-55

BIZNES

- ROLETY okienne 33-73-54
- TRANSPORT 2,5 t kraj, Europa tel. 56-08-31
- TERAKOTA włoska, konkurencyjne ceny 48-46-49 Jemiółowa 4

HANDEL

- OKAZYJNIE sprzedam długopisy włoskie, łódź pontonową z silnikiem, Łódź 36-78-76
- SPRZEDAM pralkę Lunę tanio, futrzaki do poloneza, bramę wjazdową z furtką 32-59-77
- ZNACZKI wycięte z listów kupię 93-001 Łódź 58 Box 29
- SMOKINGI, fraki sprzedaję Sienkiewicza 31
- KUPIĘ nowego mercedesa tel. 32-16-07
- LISY niebieskie sprzedam 1 sztuką 300 tys. tel. 84-60-73
- SKLEP „Delikatesy” zaprasza art. pochodzenia zagranicznego i krajowego Kasprzaka 15
- KOPIFAX Urzędnicza 45 tel. 57-51-19 regenerowanie kopiarki Cannon z gwarancją od 7 mln, kserokopia A-4 300 zł
- „DEVERNOIS” prosto z Paryża suknie, bielizna, garsonki, spódnice, bluzki Jaracza 9 tel. 32-65-62
- BOAZERIE szlifowana sosna powyżej 2 m 62 tys. do 2 m 56 tys. – do 1 m 53 tys. Jaracza 4 tel. 81-46-89 godz. 10-18
- „KAN-BUT” Piotrkowska 114 poleca modne obuwie, hurt, detal
- „WIT-LAND” ul. Piotrkowska 123 oferuje zagraniczną odzież, obuwie
- PRACOWNIA biżuterii Ewa Melesz 78-94-76 hurt, detal
- TANIA i atrakcyjna odzież zachodnia w bardzo dobrym stanie Ossowskiego 8

ŻYCZENIA

- Michałowi Majchrzakowi najlepsze życzenia imieninowe składają rodzice, dziadkowie i Madzia
- RODZICOM Ani i Grzegorzowi Blachniakom ul. Strycharzka 24 m 32 podziękowanie za miłość składa Funia
- Uli Jesion i Piotrowi Wężowicz Paradna 12 z okazji ślubu – gratulacje ciocia i dziadek
- Agnieszce i Piotrowi Zdrzyńskim Lutomińska 3 gratulacje z urodzin córki – Krystyna
- Kochanej Mamie Krystynie Kwiatkowskiej Łódź Odyńca 67 m 58 z okazji urodzin serdeczne życzenia od Czarka
- Beacie Kamińskiej i Piotrowi Reszpondkowi Umińskiego 7 z

- okazji ślubu życzenia od Agnieszki z Krzyśkiem
- Sandrze Kelcz zam. Promińskiego 31 m 82 wszystkiego najlepszego z okazji rozpoczęcia roku szkolnego rodzice
- Kochanej żonie Lilli Paszkowskiej ul. Srebrzyńska 51 m 56 z okazji 4 rocznicy serdeczne życzenia składa Darek
- Z okazji 18 urodzin Magdaleny Grzędowskiej ul. Gagarina 28/30 m 18 serdeczne życzenia składają rodzice z Marcinem
- Babci Irence Wieczorek Łódź, Józefa 23 serdeczne życzenia składa kochająca Ewa
- Z okazji 1 rocznicy Towarzystwa Taksówkarzy Łódzkich najlepsze życzenia składają kierowcy Radio-Taxi 919
- Mirosławowi Kosikowi zam. Zachodnia 103 serdeczne życzenia zdrowia i pomyślności grono przyjaciół
- Oldze Piotrowskiej zam. Piotrkowska 182 m 94 w drugą rocznicę poznania serdeczności Michał

VIDEO

- VIDEOFILMOWANIE tel. 84-24-02
- VIDEOFILMOWANIE tel. 86-56-88
- VIDEOFILMOWANIE tel. 84-29-69
- MUSIC-MARKET Piotrkowska 120 tel. 32-63-05 (czynne całą dobę) kasety magnetofonowe, kasety videomuzyczne
- REWELACYJNE kasety video wypożyczalnia „Rak” Wschodnia 62

TOWARZYSKIE

- BIURO matrymonialne „Penelopa” tel. 43-62-16
- PANNA lat 50, mieszkanie, działka, bez nałogów, finansowo niezależna pozna pana do lat 55 tel. 84-24-02
- ROZWIEDZIONA 35 lat, dwoje dzieci, sympatyczna pozna pana do 40 lat, tel. 51-52-47

RÓŻNE

- HURTOWNIA dodatków krawieckich i tkanin Brzeziny Sienkiewicza 22 tel. 0-40 74-36-73
- OŚRODEK teatralny ŁDK oferuje dzieciom przedstawienie „Zaklęty rumak” informacje tel. 33-65-38
- BISTRO „Green Fox” Rzgowska 57 zaprasza na gros, szaszłyki, hamburgery, kurczaki
- AKADEMIA sukcesu Traugutta 18 p. 503
- SZUKAMY sponsorów Międzynarodowego Zjazdu pod hasłem „Człowiek Nowej Ery” tel. 43-96-90
- WRÓŻENIE z kart „TAROT” możliwość nauki Kilińskiego 121 tel. 74-54-93
- DOM Środowisk Artystycznych Kościuszki 33 zaprasza do Klubu Środowiskowego karnety w sekretariacie
- BADANIA Psychologiczne Kierowców Gdańska 81 I p. tel. 32-23-10
- KRATY, bramy, ogrodzenia 49-05-03, 43-40-07 godz. 19-22
- PLANESZE, napisy, stojaki, tablice reklamowe – rachunki – 87-43-89
- „HIT” Narutowicza 20 tel. 32-66-77 poleca odzież, biżuterię, chemię, artykuły gospodarstwa domowego
- TELEFON reklamowy tel. 36-38-34 pośrednictwo, handel, usługi, produkcja
- „FISKUS” biuro reklamowo-podatkowe 97-500 Radomsko, ul. Wojska Polskiego 56 Ewa Sołbańska
- JEŻELI chcesz zwiększyć potencję swojego umysłu, rozszerzyć świadomość skontaktuj się z ŁDK pok. 503 (Łódzki Dom Kultury)

Zasady przyjmowania ogłoszeń drobnych bezpłatnych

1. Ogłoszenie nie powinno przekraczać 10 słów
2. Każde ogłoszenie dotyczące sprzedaży powinno zawierać cenę
3. Ogłoszenia z życzeniami, podziękowaniami, prośbami itp. powinny zawierać imię nazwisko oraz adres bądź miejsce pracy osoby, której składa się życzenia.
4. Ogłoszenia z zawiadomieniami o urodzinach niemowląt powinny zawierać imiona i nazwiska rodziców, nazwę szpitala, godzinę i datę urodzenia, długość i wagę noworodka, płeć niemowlęcia.
5. Ogłoszenia należy nadesłać pod adresem redakcji na zamieszczonym obok kuponie bądź też osobiście złożyć w redakcji, Sienkiewicza 3/5 XI piętro.
6. Redakcja zastrzega sobie prawo nie publikowania ogłoszenia bez podania przyczyny.

Uwaga:

Kupon na bezpłatne ogłoszenie w numerze bieżącym znajduje się na str. 5.

AUTOALARMY BAJERNE:

montaż, sprzedaż detaliczna i hurtowa

Terminy ekspresowe

ŁÓDŹ, UL. RADWAŃSKA 63/65

PO
wina
piwa
napoje

kawę
ocet
oraz słodczy

Zaprasza

Przedsiębiorstwo „JAFT”

Łódź, ul. Cyprysowa 23

Tel. 34-27-72

RESTAURACJA

VICTORIA

Łódź, ul. Piotrkowska 75 (w Alei Rubinsteina) tel. 32-99-83

– czynna od godz. 12-tej do północy

Proponujemy dania międzynarodowe oraz potrawy z grilla

W dni pogodne czynny taras

Organizujemy przyjęcia i bankiety

SERDECZNIE ZAPRASZAMY

koneserów dobrej kuchni i smakoszy

SKLEP FIRMY

maxbuc

Łódź, ul. Pojezińska 6/8 (pawilon, I piętro)

oferuje:

- boazerie i listwy
- drzwiczki i kowbojki
- farby i lakiery
- okucia i inne art. wykończeniowe

● Reporter „Przeglądu Tygodniowego” **Krzysztof Spychalski** zaproteściwał przeciw ograniczaniu możliwości wykonywania zawodu. Jego list otwarty był również drukowany w poprzednim numerze „Odgłosów”. Prezydent m. Łodzi – **Grzegorz Palka** uznał za niemożliwe uczestniczenie w telewizyjnej dyskusji razem z **Krzysztofem Spychalskim**. Reporter „Dziennika Łódzkiego” – **Błażej Torzański** zwrócił się z pytaniem do prezydenta **Grzegorza Palki**, kto ma prawo dobierać rozmówców, redakcja czy zaproszony do redakcji gość? **Grzegorz Palka** odpowiedział: – „Niewątpliwie prawo wyboru uczestników dysputy należy do tego, kto ją organizuje”. – Dłaczego zatem **Grzegorz Palka**, „postanowił wybierać sobie dziennikarzy do publicznych występów”? – „Chciałem – odpowiedział **Grzegorz Palka** – dokładnie powiedzieć to, że mam prawo oczekiwać minimalnego standardu moralnego ze strony dziennikarzy. Niestety od pewnego czasu środowisko dziennikarskie zaniechało wykonywania funkcji opierającej się na ocenie i egzekwowaniu podstawowych wymogów moralnych”. **Grzegorz Palka** nie przyjął zarzutu, że jest nadmiernie wrażliwy na krytykę prasową. List **Krzysztofa Spychalskiego** był adresowany do obu stowarzyszeń dziennikarskich. Te jeszcze milczą.

● Rozgorzał spór na temat tego, czy wyburzyć kamienice przy ul. Gabriela Narutowicza i Zielonej, po obu stronach ul. Piotrkowskiej? Jedni są za, bo to może rozwiązać komunikacyjne problemy w tym rejonie. Inni protestują, bo te kamienice to zabytki XIX-wiecznej architektury. Zanim spór wygaśnie może runąć kamienica przy ul. Zielonej 6.

● PKP podniosły ceny biletów, a przy okazji zlikwidowały kilka pociągów. Między innymi pociąg z Łodzi Kaliskiej do Kołobrzega. Łódzianie tradycyjnie wypoczywali w rejonie Kołobrzega. PKP rzadko kiedy liczyło się z interesami łódzian. Na ogół wszelkie decyzje zapadały tylko w Warszawie. Tak stało się i tym razem. Postanowiono jednak zapro-



testować i domagać się przywrócenia bezpośredniego połączenia Łodzi z Kołobrzegiem. Czy w Warszawie wysłuchają racji Łodzi i uznają je, tego nikt nie wie.

● Łódzki „Cefarm” ma nową władzę. Odeszli dyrektor **Czesław Dąbrowski** i jego zastępczyni **Bożena Świderek**. Z Warszawy do Łodzi przyjechał **Bogdan Błażowski**. Zapewnia, że nie ma zamiaru likwidować „Cefarmu” w Łodzi, ale go uratować. Jak rozstrzygnięty zostanie konkurs na nowego dyrektora, to on bierze na dworzec Łódź Fabryczna i wraca do Warszawy. W „Cefarmie” – jak do tej pory – toczą się spory i wybuchają konflikty. W Łodzi powstało 90 aptek prywatnych i stały się one zagrożeniem dla aptek cefarmowskich.

● Na początku października nastąpią zmiany na stanowiskach lekarza miasta i lekarza województwa. **Jacek Łuczak** – lekarz miasta wygrał konkurs na dyrektora ZOZ Warszawa-Wola, a **Jacek Danowski** – lekarz województwa – wraca na uczelnię. Kto zajmie opuszczone miejsca? Tego jeszcze nie wiadomo.

● Wprowadzenie powszechnych opłat za lekarstwa ZJM tak skomentował:

Rząd pełnopłatnie wprowadził leki, Rad jest skarb państwa oraz apteki.

A prognozując, co będzie później?

Na pewno w kraju zrobi się luźniej.

● Dwie reporterki „Odgłosów” opisały w reportażu „Ślup Janowskiego wydarzenie ze Zduńskiej Woli, gdzie **Józef M. Janowski** „wziął sobie pół słupa”, na którym prowadzi akcję „publicystyczno-informacyjną”. Fragment tego reportażu zacytowany w „Gazecie Łódzkiej” z komentarzem mało pochlebnym dla „właściciela” słupa. W rewanżu na ulicy Zielonej, na filarze podcięcia „nieznany sprawca” umieścił wielki plakat, w którym od czci i wiary odsądził redaktora naczelna „Gazety Łódzkiej” – **Iwonę Śledzińską** oraz autorów przeglądu prasy – redaktorów **Piotra Wesółowskiego** i **Tomasza A. Włodkowskiego**. Inni „nieznani sprawcy” plakat zerwali. Wojna plakatowa między Zduńską Wolą a Łodzią rozpoczęła się.

● Na pytanie czy w Łodzi władze zgodziły się na otwarcie domu publicznego rzecznik prezydenta **Paweł Wojciechowski** odpowiedział: – *Zarząd miasta jest przeciwny. Nie mieliśmy wprawdzie takiego przypadku i nie było to rozważane, ale raczej nie wyrażilibyśmy zgody.* – Zgody nie wyraziły też władze Krakowa i Poznania, a w Chełmie Lubelskim rzecznik Komendy Policji oświadczył, że w tym mieście nie ma prostytucji. Z powodzeniem działają natomiast tajne domy publiczne, a liczba prostytucji stale rośnie. Ostatnio – jak donosi pierwsza w Polsce gazeta kolorowa „Glob 24” – na ulicę wychodzą kobiety zwalniane z pracy. Odradza się stare pytanie: co lepiej, udawać, że prostytucji nie ma, czy też skanalizować ją w domach publicznych? Ale czerpanie zysku z prostytucji jest u nas karane i nie zanoszą się na zmianę tego przepisu. A prostytucja rozwija się coraz bujniej.

B. M.

CZYTELNICY PISZĄ

W rubryce tej zamieszczamy teksty zawierające poglądy lub opinie, które redakcja nie zawsze podziela

Rozkosz niejedno ma imię

Szanowny Panie Redaktorze!

Pocztą pantoflową poszła w miasto wieść, że w centrum Łodzi otworzono klub rozkoszy dla pań. Pobudzona tym hasłem damska wyobraźnia zaczęła pracować, a ciśnienie nieznacznie wzrosło. Z najgłębszych pokładów podświadomości wróciły obrazy z niedawnego telewizyjnego show, w którym swe wdzięki prezentowali najlepiej opłacani męscy modele z pierwszych stron zachodnich magazynów. Zgromadzone w studiu panie w różnym wieku mogły zaspokoić nie tylko zmysł wzroku, ale namacalnie przekonać się, że muskularni panowie nie są li tylko zjawami.

Zaswitała nadzieja, że w przytulnym wnętrzu z nastrojowo przyćmionym światłem i dyskretnie sączącą się muzyką szarmancko przywita sympatyczny, elegancko ubrany pan z zadbaną fryzurą oraz wypielęgnowanymi dłońmi i zaofertuje kawę, drinka, taniec lub towarzystwo w rozmowie. Potem w zależności od upodobań i zasobności portfela skieruje w odpowiednio zaciszne miejsce, gdzie będzie można szyć oczy rzeźbą męskiego ciała na zdjęciach, kasetach video lub na żywo. Seans zakończy na przykład odprężający masaż i ciepłe zaproszenie do kolejnych odwiedzin.

Niejedna znudzona codziennością kobieta, o ile finanse pozwoliłyby na to, chętnie poszłaby zobaczyć, co oferuje taki klub. Na Zachodzie tego typu przybłoty nie dziwią. Nikt nie traktuje ich jak domów schadzek czy siedliska rozpusty. Panie znajdują tam miłe towarzystwo do frywolnej rozmowy na tematy damsko-męskie, mogą zrelaksować się i odprężyć.

Otrzymały poufnie numer telefonu okazał się być prawdziwy, a mile i namiętnie brzmiały męski głos uprzejmie podał adres, gdzie od 10 do 19 czekają panie mocne wrażenia. Pierwsze zaskoczenie nietypowymi, jak na taką instytucję, godzinami pracy szybko zastąpiła radość, że chwilę zapomnienia uda się w domu usprawiedliwić dłuższymi zakupami i nie wzbudzać podejrzeń męża eskapadami późną porą.

Pod wskazanym adresem zamiast przybytku rozkoszy znajdował się salon z odzieżą, komputerami, porcelaną i artykułami dla niemowląt. Bezowocna penetracja podwór-

ka i klatki schodowej w oficynie utwierdziła w przekonaniu, że tajemniczego klubu trzeba szukać na zapleczu sklepu. Każde kolejne drzwi przynosiły rozczarowanie, nigdzie żadnego znaku wskazującego, że to tu. Zapytany smutny pan uprzejmie odesłał do kobiet siedzących za biurkiem. Sytuacja stawała się nieznosna – biegasz po sklepie w poszukiwaniu podniety, a tu wszyscy patrzą na ciebie jak na wariata. Może klub jest tylko dla tajemniczonych? Może siatka wyładowana zakupami i niezbyt drogie odzienie dyskwalifikuje?

Równie zdezorientowane ekspedientki jako klub (o rozkoszy nie było mowy) dla pań o szumnej nazwie „Pretty Woman”, wskazywały stoliki i fotele wciśnięte w kąt między stojakiem z porcelaną a stoiskiem z krawatami i słupkami. Zamiast spodziewanych atrakcji na ekranie telewizora w mocno nieświeżym clipie produkowała się Madonna. Cóż pozostało innego, jak usiąść, obejrzeć żurnale (na szczęście z 1991 roku), zamiast na męskie bicepsy popatrzyć na przechodniów monotonnie przesuwających się za oknem, wypić kawę (40 tysięcy) i zakąsić suszonym bananem (pokrojonym w talarki).

Zrekompensować rozczarowanie i poprawić humor mógłby w tej sytuacji tylko nowy ciuch, dobry drink albo ciastko z nieprzyswoiczonej ilości kremu. O ironio losu! – w barku stały tylko orzeszki ziemne („pindas”), drobne herbatniczki, czekoladki i piwo, na dodatek bezalkoholowe. Jedyną rzeczą podnoszącą ciśnienie były astronomiczne ceny ubrań „dla managera, jego żony i dziecka”.

Rozrywek dla swawolnych panów nie brakuje, z kolorowych okładek zewsząd błyskają nagie biusty i pośladki, a za jedne 5 tysięcy złotych w „Sexy Landzie” można oglądać rozbierające się w tańcu dziewczyny. Żadne określonych wrażeń panie, kiedy trafią już do „swojego” klubu rozkoszy muszą zadowolić się widokiem brzydkiego garnituru falującego na ruchomym stojaku. Przy odrobinie dobrej woli oczami wyobraźni zobaczą zmysłowo poruszającego się mężczyznę.

Drogie panie, nie rezygnujmy z marzeń!

Łódzianki

Problem cygański

Dopiero teraz miałem okazję zapoznać się z reportażem o pogromie Cyganów z Mławie. I nasunęły mi się takie refleksje.

Kilka lat temu na pytanie, komu jest najlepiej w Czechosłowacji, odpowiadano żartobliwie: „Cyganom z legitymacją partyjną, pożądaną jest, aby jednocześnie byli homoseksualistami”. Od tej pory wiele się zmieniło, komunistom nie jest do śmiechu, na homoseksualistów przyszedł mor – mam na myśli to, że umiłowany może zakazić wirusem HIV – to dopiero obiecująca perspektywa. Ale w dzisiejszych czasach być Cyganem jest wygodnie.

Proszę nie uważać mnie za rasistę. Kto słuchał kiedyś cygańskiej muzyki pełnej temperamentu i prawdziwego uczucia, nie może nie lubić Cyganów. Ja też słuchałem niejednokrotnie tej muzyki... Wielu obywateli Czechosłowacji może pożałować Cyganom. Jeśli w socjalizmie mieli obowiązek pracować minimum piętnaście dni w miesiącu, aby „otrzymać dodatkowe pieniądze na wychowanie dzieci”, to dziś w ogóle nie muszą pracować, pieniądze wszakże otrzymują. I trzeba od razu powiedzieć, że wcale nie takie małe. Jeśli cygańska rodzina posiada dwadzieścioro dzieci, a wcale to nie taki rzadki przypadek, dostaje 20 tysięcy koron, co równa się średniej półrocznej płacy obywatela Czechosłowacji. Można przypuszczać, że podstawowa część tej sumy przeznaczona zostaje na jedzenie i odzież dla dzieci, lecz niestety tak nie jest. Ponad połowa, jeśli nie więcej z tego dochodu przeznaczona zostaje na alkohol, a kiedy pod koniec miesiąca nie starczy pieniędzy, zaczynają się kradzieże i roboje.

Obecnie obserwujemy także inne zjawiska. Jeśli swego czasu „pracował” jedynie mąż, dziś pragnie „pracować” także żona. A kiedy nie dostaje pracy, przychodzi do biura dla bezrobotnych i domaga się zasiłku. Pewien psycholog zajmujący się dziećmi opowiadał mi, jak przyszła do niego Cyganka z dzieckiem domagając się zaświadczenia, że potomek wymaga szczególnej troski, że cierpi na „niedorozwój”. Gdyby bowiem biuro pośrednictwa pracy znalazło kobiecie zatrud-

nienie, wystarczy pokazać papierek, że jedno z dzieci jest niedorozwinięte i nie trzeba pracować, można natomiast otrzymywać zasiłek dla bezrobotnych. Jeśli zaś, nie daj Boże, przytrafi się w rodzinie, że brak niedorozwiniętego, kobieta bierze skierowanie i udaje się do fabryki, którą jej wskazano. Przychodzi do kierownika działu personalnego i mówi: „Naprawdę chcę wziąć mnie do roboty? Mnie, Cyganke? To pan nie wie, że będę migać się od pracy, a mogę także przy okazji coś świnać? Proszę się zastanowić!”. Kiedy personalny stwierdza ostatecznie, że jej nie przyjmie, Cyganka daje mu powtórnie papierek: „No, widzi pan. Niech pan tak napisze!” I wszyscy są zadowoleni.

Mogę dłużej rozpisywać się w tym duchu. Mogę także opowiadać o tym, że gdy Cygan zwolniony zostaje z pracy, żąda aby pracodawca napisał: „W ostatnim czasie zatrudniony zarabiał 10 tysięcy koron miesięcznie”. Jeśli mu się to uda, Cygan otrzymywać będzie 65% zarobków przez rok to znaczy 6500 koron miesięcznie. I tak dalej, i tak dalej. Jest wiele sposobów, aby oszukać państwo i „białych”.

W jednej z naszych pieśni są słowa: „Nie muszę siał, nie muszę zbierać, samo mi się rodzi”. W Czechosłowacji zbiera się plony czterdziestoletniego oszustwa. Prominentni komuniści nie interesowali się problemem Cyganów i ich społecznej integracji. Przez czterdzieści lat zatykali im usta pomocą socjalną, pieniędzmi (to na żywność, to na mieszkanie, to bezpłatnym dożywianiem ich dzieci w szkołach...) Nigdy nie zapominali dodawać, że Cyganów wychować się nie da, pracować nigdy nie będą, a naszym obowiązkiem jest im pomóc. Przez czterdzieści lat nauczyli ich przebiegłości, handlu i nieposłuszeństwa wobec władzy. Interesujące kto pierwszy zdobędzie się na odwagę i powie: „Dość, będziecie żyć z tego, co zarobicie własnymi rękami, a nie oszustwem”.

D.D. Czechosłowacja

Nazwisko i adres do wiadomości redakcji

Co się komu śni?

Wielce Szanowna i Sympatyczna Redakcjo. Kiedy zwróciłem się do Was z propozycją udzielenia wywiadu na temat Partii „X” i moich kontaktów z p. St. Tymińskim, zaproponowaliście mi wykupienie kolumny za 10 mln zł. Po wyjściu od Was przeczytałem w numerze 15 (1700) „Odgłosów” na 2/3 kolumny bzdety jakiegoś nawiedzonego psycho-tele-somnabulika z Katowic. Przy czytaniu Waszego komentarza uduławiłem się śliwką, co mogło się skończyć nawet tragicznie.

Panowie. Ten pan nie znajdzie pełnego zrozumienia w szeregach naszej partii ani u pana Tymińskiego – jak staracie się zasugerować. Program Partii „X” nie opiera się na parapsychologii, lecz na realiach ekonomicznych. Będzie on niebawem opublikowany i radzę zachować kilka kolumn na wyrażenie waszego zachwytu. Co do rzeczy transcendentalnych, to radzę Wam zakupienie za jedne 25 tys. zł. „Świętych psów” St. Tymińskiego i przeczytanie rozdziału pt. „Wartościowanie człowieka”. Zauważcie, że nie ma tam nic z mistycyzmu, a opisane cztery wymiary osobowości można porównać z pięcioma poziomami w cyklu rozwojowym człowieka, omówionymi w książce pod redakcją prof. dr. hab. Kazimierza Dąbrowskiego pod tytułem „Zdrowie psychiczne” (PWN Warszawa 1985r.). Niedawno w bezpośredniej rozmowie – pan Tymiński powiedział mi, że wiedzę na powyższy temat zaczerpnął z fachowej literatury zagranicznej i nie jest to jego osobisty wymysł. Do autora Waszego komentarza, podpisanego „Redaktor numeru” mam uwagę: Panie numerancie, Aby pisać, trzeba najpierw dużo czytać.

Z poważaniem
Włodzimierz Kusik
Członek Partii „X”

Od redakcji:

Całkowicie podzielamy pogląd Pana, że aby pisać, trzeba najpierw dużo czytać. Pomimo nawalu zajęć staramy się nie zaniedbywać lektur. Oto spis książek zaliczonych przez nas w ostatnim tylko miesiącu: A. Kepiński *Schizofrenia*; tegoż autora *Psychopatie*; H. i M. Frings *Mowa zwierząt*; Erazm z Rotterdamu *Pochwała głupoty*; R. Kapuściński *Busz po polsku*; z lektur leższego kalibru: A. Conan Doyle *Pies Baskervillów*; i tegoż autora po angielsku *The History of Spiritualism*.

Mieliśmy także okazję podczas redakcyjnego dyżuru przerzucić jakąś broszurkę weterynaryjną na temat zapobiegania wściekliznie, niestety bez wydawcy i autora.

Polecamy

Redaktor numeru

Odmawiam poparcia prezydentowi

Literat, pan **Jacek Sawaszkiewicz** prosił nas o przekazanie następującego listu panu posłowi **Bogdanowi Łukasiewiczowi** upoważniając nas jednocześnie do zapoznania z jego treścią szerokie grono Czytelników.

Szanowny Panie Pośle!

Z niezawinionym przeze mnie dużym opóźnieniem przeczytałem opublikowany w lipcu przez Redakcję tygodnika „Odgłosy” Pański apel do obywateli naszego kraju o cofnięcie głosów oddanych na Lecha Wałęsę w II turze wyborów na prezydenta RP.

Nie mogę cofnąć głosu, którego nie oddałem. Nie brałem udziału ani w I, ani w II turze wyborów.

W ciągu 44 lat swojego życia głosowałem tylko raz i to wkrótce po skończeniu 18 roku, kiedy każda okazja do usankcjonowania własnej dojrzałości wydawała mi się emocjonalnie ważna i ekscytująca.

Nigdy – powtarzam – nigdy więcej nie brałem udziału w żadnych wyborach bądź referendumach.

Ale zapewniam Pana, Panie Pośle, że tym razem do wyborów przystąpię, i że z całą pewnością nie oddam głosu na Lecha Wałęsę.

Dziękuję Panu, Panie Pośle, za ten apel. Czekałem na niego z rosnącą beznadzieją w sercu.

Łączę wyrazy szacunku
Jacek Sawaszkiewicz
Szczecin

Jedno danie Anny-Marii

Otóż z całą satysfakcją oznajmiam, że nie tylko ja narzekam na biedę, ani nie tylko ja obracam się w środowiskach, gdzie pożywa się przed pierwszym. Minister zdrowia, Władysław Sidorowicz także nie wyrabia się finansowo. I nie wstydzi się swego ubóstwa. W programie trzecim radia mówił o nim publicznie, z pełną godnością odpierając zarzuty postawione mu przez Najwyższą Izbę Kontroli. Że aż tyle powydawał z kiesy resortu na hotele, delegacje i służbowe samochody swoich wysokich urzędników; w tym zaś – na samego siebie najwięcej.

Bo tak: na zakwaterowanie 14 osób minister wydatkował dwieście czterdzieści dwa miliony, a na swoje w hotelu URM – sto sześćdziesiąt trzy. Jednocześnie czekało nań mieszkanie służbowe. Wyposażenie tego mieszkania (na życzenie ministra) kosztowało „dalsze” 71 mln 992 tys 850 zł. Łącznie mieszkania ministra kosztowały jego własny resort dwieście trzydzieści pięć baniek.

No, a ten dziennikarz z „trójki” powiada wprost ministrowi, że to są nadużycia. Oj, jakiś nie na poziomie dziennikarz, którym czym prędzej powinien się zainteresować osobiście Prezes Radiokomitetu! Przecież on (dziennikarz, nie prezes) dokładnie niczego nie rozumie!

Po pierwsze, nie rozumie, że minister nie może mieszkać pod mostem – co mu zresztą natychmiast minister zdrowia słusznie wytknął. Po drugie, nie rozumie (dziennikarz, nie minister) że całą tę aferę z NIK-iem namotał poseł, niejaki J. Szymanderski, a wszyscy dobrze wiedzą, kto on zaczął, ten poseł. Po trzecie, nadużyć żadnych nie było. Nawet NIK mówił tylko o „nieprawidłowościach”.

No, to ten dziennikarz z „trójki” znów zaczął ministra nagabywać o to mieszkanie służbowe. Że minister mieszkał w hotelu URM, a tymczasem mieszkanie czekało nie zasiedlone.

I wtedy właśnie minister z otwartością wyznał, iż nie stać go było na zasiedlenie. Bo mie-

szkanie służbowe zbyt drogie. Należało za nie wyłożyć z własnej kieszeni kaucję. A ta kaucja wynosiła aż 6 (sześć!) milionów. Z czego taką gotówkę? Pensja ministra niska, nie da się z niej przyszczędzić. Widać nawet żadnych zaszkórniaków minister nie miał. Trwało więc, nim minister znalazł znajomych, którzy się złożyli i pożyczili.

Nie zdążyłam dobrze westchnąć ani zadumać się nad ciężkim losem ministra, a tu ten dziennikarz znów napada, wypominając wyposażenie za 71 mln. Nim jednak minister odpowiedział, że wyposażał nie dla siebie, lecz przede wszystkim z myślą o tych następnych poko-

Docenić ministra

leniach ministrów, które po nim przyjdą – ja zdążyłam już pomyśleć, że zadawane pytania są wyjątkowo tendencyjne. Niehumanitarne po prostu. Przecież trudno wymagać od człowieka, nawet jeśli jest ministrem, aby zamieszkał w pustych czterech ścianach. Nie wiem, ile tam tych ścian jest w owym mieszkaniu służbowym, ale ile by ich było – trzeba je jakoś uprzutnić, umieszkalnić. Jeżeli zaś człowiek nie ma na kaucję, to skąd może mieć na meble? One są dziś takie drogie, że ho, ho. Wiem coś na ten temat. Tapczan mi się rozlatuje, posłałem zwiędzać byłby Domus na Piotrkowskiej oraz inne sklepy meblowe, ale gdzie tam! Byłby jakiś kosztuje trójkę, nie na moją dziennikarską kieszonkę. A przecież minister ma prawo do czegoś więcej niż do zwykłego tapczanu za trójkę!

Tymczasem dziennikarz dalej napadał na ministra, a ja dalej rozmyślałam sobie, że człowiek, który został ministrem, mieszkać gdzieś musi. Nie jego wina, że do zakwaterowania ministrów służy specjalny hotel Urzędu Rady Ministrów. Ja, zwykły śmiertelnik, nawet takiego hotelu nie potrafię sobie wyobrazić, ale domy-

ślałam się, że taki hotel nie może być byle jaki. Musi być na odpowiednim dla ministrów poziomie. Poziom ministerialny zaś musi kosztować. To o co idzie?

Kwota, jaką minister sam na siebie wydatkował, te głupie dwieście ileś tam baniek to – za przeproszeniem – jakby pryszcz na słońcu wobec tych bilionów, brakujących Ministerstwu Zdrowia. Nie na hotele, delegacje czy wydatki związane z użytkowaniem służbowych samochodów, ale na szpitale, ich wyposażenie, aparaturę, itp. itd. Ludzie! można by zawołać, mając na myśli nie tylko posła Szymanderskiego, lecz również tych wszystkich posłów z sejm-

mowej Komisji Zdrowia, którzy spowodowali kontrolę NIK, czym wy się zajmujecie? Tu się cały resort zdrowia wali, bo na nic nie ma pieniędzy, tu na operacje nie ma, na inkubatory dla noworodków nie ma, tu się mówi o „kolejkach do śmierci”, o tym, że jeżeli nie znajdą się pieniądze, to należy oczekiwać wybuchu „eksplozji zgonów” wśród dzieci – a wy się zajmujecie takimi drobiazgami? Czy minister zasiedlił, czy nie zasiedlił? i za ile zasiedlił, a za ile nie zasiedlił? Albo że sobie trochę w resorcie pojeździł służbowymi samochodami na służbowej benzynie w weekendowe soboty i niedziele? Albo że przekroczony został limit delegacyjny o 448,5 proc.?

Naprawdę, mało poważnie. Rzecz pewno w tym, że ten nasz Sejm, ciągle (niestety) jeszcze „kontraktowy”. Kontraktowa Komisja Zdrowia więc wystąpiła z wotum nieufności dla ministra Sidorowicza.

Minister jednak nie zgodził się na nieufność. Podkreślił, że jego działalność była prawa – i z punktu widzenia prawa, i z punktu widzenia etyki!

Postawa ministra ogromnie mi zaimponowa-

herbatę. Szkłankę trzymał delikatnie w wielkich łapach, jakby bał się, że ją pokruszy. Mężczyzna upił łyk herbaty i zapytał: – Cóż to, nie poznajesz mnie? – Marek przyjrzał się uważnie i dostrzegł podobieństwo do swego teścia.

– Stryjek Władek! Przeczysz, nie poznaję.

– Choć, siadaj. Co u ciebie? Marek ruszył ku stolowi.

– O! Kule. Co ci się stało? – Nogi miałem w gipsie. Była złamana. Miałem wypadek samochodowy.

Stryjek Władek pokiwał smutnie głową.

– Ano, takie czasy. Dziś o wypadek nie trudno. U nas sąsiad wyjeżdżał na drogę. Nie wyrzucił dobrze na drogę. Nie zobaczył auta. Wpadło mu na furmankę, zabiło konia. Jego też mocno

ła. Mógł się obrazić jak premier Bielecki, podać się do dymisji. Ale nie. Wręcz przeciwnie. Z wielką energią zabrał się do uzdrawiania finansów swego resortu.

Już piątego września prasa ogłosiła jedną z propozycji ministra: podatek od zdrowia. Projekt przewiduje, aby każdemu pracującemu Polakowi – a jest nas takich około 16 milionów! – obciążyć z pensji śmieszna sumę 30 tys. złotych. Nikt od tego nie zbudnie, a ministerstwo się wzbogaci.

Jest to pomysł genialny. Genialny w swojej prostocie. Zamiast wyliczać drobniaczko i małostkowo, ile minister wydatkował na siebie, eksperci ministra chyzo wyliczyli, że w ten sposób resort uzyska miesięcznie 480 miliardów złotych. A to jest tyle, że pozwoli na normalne funkcjonowanie szpitali i przychodni.

Co prawda, wprowadzenie tego projektu Ministerstwa Zdrowia wymaga zawieszenia kilku drobnych, obowiązujących wciąż na nie-szczęście ustaw. Żeby je zawiesić, rząd musiałby uzyskać od Sejmu nadzwyczajne pełnomocnictwa. Ale chyba z tym nie ma sprawy! Jeżeli kontraktowy nie uchwali, to przecież ten nowy, który wybierzemy w naprawdę demokratycznych i wolnych wyborach, nie odrzuci takiej szansy dla kraju.

W tej sytuacji nie dziwię się więc, że przeciwko pomówieniom swego ministra ostro zaprotestowało Prezydium Naczelnej Rady Lekarzy, stwierdzając, że „...podejmując swój ustawowy obowiązek, występuje w obronie dobrego imienia członka samorządu lekarskiego, dr. Władysława Sidorowicza i jako lekarza, i jako ministra zdrowia”. Prezydium Naczelnej Rady Lekarzy podkreśliło z całą mocą w swoim oświadczeniu, że NIK nie sformułowała żadnego przeciwko ministrowi zarzutu, a kontrola NIK nie ujawniła żadnych nadużyć i dotyczyła zaledwie „marginalnej działalności resortu”.

Święta prawda. Co do słóweczka.

Anna-Maria

E. L. Skalknik. Z tygodnia na tydzień (18)

Po ostatniej kłótni z Anitą Marek powziął decyzję. Trzeba się urywać. Najlepiej za granicę. Tylko, jak to zrobić? Postanowił odszukać Edmunda Pluskotę. Miał już zdjęty z nogi gips. Mógł chodzić, podpierając się kulami. Któregoś popołudnia wybrał się do „Grandki”, gdyż pamiętał, że tam zwykle o tej porze pił kawę i zafatował różne interesy Mundek Pluskota. Nie zawiódł się. Mundek siedział w kątce, coś czytał i pił kawę. Był sam. Gdy Marek dokuśtykał do jego stolika, Mundek zdziwił się. Takiego gościa nie spodziewał się. Przyjął Marka życzliwie, wysłuchał jego prośbę, nic nie obiecał, kazał przyjść za dwa tygodnie. Musi się zasta-

klientów. Cóż z tego? Numer telefonu jest warszawski. Do Warszawy przecież nie pojedzie. Ale zostać menedżerem fotomodelki, to mogłoby być interesujące.

Podniósł wzrok znad gazety i zobaczył Grażynkę. Była w kwiecistej sukience. Ładna, zgrabna. I jego. Trzeba wykorzystać sytuację. Toteż gdy Grażynka ucałowała go i usiadła na ławce, przystąpił do ataku.

– Będziemy tu tak siedzieli? A może poszlibyśmy do ciebie?

– Z przyjemnością – zaśmiała się – ale dziś nie można. Przyjechała siostra. Nie jestem więc sama. Może innym razem.

Trzy pokoje z kuchnią w starym budownictwie

nowić, poradzić różnych ludzi. Może coś się wymyśli. Może – podkreślił to wyraźnie. Czas jest trudny, interesy idą nie najlepiej, chyba że się podejmie duże ryzyko. Czy Marek byłby gotów w takie ryzyko się zabrać?

Marek czuł się bardzo źle. Jak żebrak. Mundek Pluskota nawet mu kawę postawił. Ale nie było innej rady. Dalej tego ciągnąć nie miał ani zamiaru, ani siły. Gdyby rozszedł się z Anitą i został w Łodzi, to by się wszystko dalej wlokło, no bo musiałby odwiedzać dzieci, słuchać płaczliwych narzekań Anity, denerwować się. Nie! Stanowczo nie! Jest tylko jedna droga. Wyjechać i Mundek Pluskota musi mu w tym pomóc. Jeszcze trochę i znów pójdzie do „Grandki” po wyrok. Ma nadzieję, że los się okaże łaskawy. Rzuci politehniki i wyjedzie. Dokąd? Może Niemcy, a może Szwecja, a może... To się zobaczy. Ma nadzieję, że Mundek Pluskota już się wszystkim zajmie, już coś wymyśli. Przecież to wielki cwaniak.

Marek wystawił twarz do słońca. Siedział w parku Poniatowskiego i czekał na Grażynkę. Podczas wizyty w „Grandce” zadzwonił do szpitala, ale już jej nie było. Dopiero wczoraj odnalazł ją telefonicznie i umówił się na dziś w parku. Dobrze, że zrobiło się ciepło i nie zanościło się na deszcz. Przecież to już wrzesień. Grupa uczniów z torbami wlece się alejką. Ciepło, nudo, spokojnie.

Spojrzał na zegarek. Jeszcze pół godziny. Wyjął z kieszeni kolorową gazetę „Glob 24”. Rozwinął ją i zaczął przeglądać. Poczytał to i owo, aż doznał do drobnych ogłoszeń. „Fotomodelka poszukuje menedżera” – przeczytał. Potem znalazł drugie podobne: „Fotomodelka oczekuje ofert”. I taki sam numer telefonu, jak w poprzednim ogłoszeniu. A więc to ta sama osoba. Może to nie fotomodelka poszukuje ofert pracy, ale jakaś piękna dziewczyna szuka

To była nieudana randka. Przesiedzieli tak w parku godzinę, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Przerzucali się słowami bez większego znaczenia. Ona mu opowiadała o szpitalu, gdzie działa się coraz gorzej. Oszczędności, ograniczenia, braki. Mówi się, że mogą być zwolnienia. Robi się coraz straszniej. Ona też się boi, bo mogą ją zwolnić. Będzie musiała być na zasiłku. A może znajdzie sobie jakoś inną i nawet lepiej płatną pracę. On jej mówił, że jest taka ładna. Całowali się, kiedy w alejce było pusto. Szlag go trafiał. Stary koń, ojciec dwojga dzieci, a całuje się z dziewczyną w parku jak jakiś student. Gdyby tak jego studenci go zobaczyli, mieliby ubaw.

Wracali do domu wściekły. Miał nadzieję, że spędzi ten dzień inaczej. W wyobraźni rozbił Grażynkę. Gdy się całowali sprawdził, że była bez stanika. Zdjąłby jej majteczki i... Cholera! Diabli nadal siostrę. Nie mogła przyjechać kiedy indziej.

Wchodził na schody i kłął. Gdyby ktoś go usłyszał, pomyślałby, że to z bólu. Ale on kłął z wściekłości. Na nieudaną randkę. Niech to wszyscy diabli!

Anity nie było w domu. Pewnie siedzi w szkole i szykuje się do tego ich strajku. Ze szkołą też się obszeli bezdusznie. Zabrali ludziom pieniądze. Jak w tym kraju robi się kurcho, to zaraz ratuje się gospodarkę obcinając pieniądze na oświatę, kulturę i naukę. Głupota nie boli. Głupimi ludźmi – poza tym – łatwiej się rządzi. Ciekawe, jakie ograniczenia dotkną uczelnie. Ale, co to go właściwie obchodzi. Jeszcze ma zwolnienie, a później już na uczelnię nie wróci. Wyjedzie.

Zajrzał do kuchni. Za stołem siedział starszy mężczyzna, opalony z charakterystycznym białym paskiem na czole. Jak to u chłopów, którzy na pole wychodzą w czapce. Mężczyzna pił

poturbowało. A tu żniwa. Roboty w polu huk. Kobieta sama. Chłop w szpitalu. Nic tylko się i płakać. Na wsi nie dzieje się dobrze. Oj, nie!

Teraz Marek pokiwał głową. Nic go sprawy stryjskiego Władka nie obchodziły. Wsi bał się niczym ognia. Chłopów nie rozumiał. Raził go prymitywizm polskiej wsi. Nie dostrzegał, że ta wieś zmieniała się latami i często dziś już nie przypomina wsi sprzed lat. Dla niego był to prymitywizm i już!

– A co z samochodem? – zainteresował się stryjski Władek.

– Z samochodem? – Marek w pierwszej chwili nie rozumiał. – A, z moim samochodem. Właściwie z byłym samochodem. Teraz to kupa złomu. Tylko silnik ocalał.

– I nie da się zreperować – dopytywał się stryjski Władek.

– Może się i da. Trzeba by zmienić karoserię. PZU płaci mi odszkodowanie, bo to nie była moja wina.

Nagle Marka olśniło.

– A może stryjski chciałby ten złom tanio kupić?

– Złom powiadasz – stryjski się uśmiechnął. – Trzeba byłoby ten złom obejrzeć. Może bym się i zainteresował, gdyby było niedrogo. Gdzie to jest?

– Co?

– No ten złom, jak powiadasz.

– A, złom. Jest na podwórku u jednego mojego znajomego. To dość daleko. Trzeba byłoby tam pojechać. Może nie dziś.

– E, nie – stryjski Władek lekceważąco machnął ręką. – Ja się na tym nie znam. To by musiał zobaczyć Boluś. A wiesz, że się Boluś dostał na twoją politechnikę.

– Tak – Marek nagle zesztywniał. Rozmowa robiła się niebezpieczna. A nuż starszy pan ze wsi wpadnie na pomysł, żeby do niego zwrócić

się o pomoc. Trzeba jakoś temu zapobiec. – Ja mam zwolnienie, wie stryjski, i na uczelnię nie chodzę. I nie wiem, jak długo to jeszcze potrwa.

– A to szkoda – stryjski Władek był wyraźnie zawiedziony. – Bo chciałem cię prosić o pomoc.

A jednak – pomyślał Marek. Wszystko, tylko nie to.

– Stryjski na kogo czeka? – zmienił szybko temat.

– Ja? A tak. Na Jadźkę. Jest u Henka. Niedługo wróci. Trzeba im jakoś pomóc. To poważna sprawa.

Marek zaczął niespokojnie się wiercić. Chciał wyjść z kuchni, bo rozmowa może znów wrócić do niewygodnych dla niego tematów. Z drugiej strony nie wypadało tak gościa zostawić i wyjść. Tym bardziej że nie było powodów. Dzieci z babcią Józefą były na spacerze. Starszy pan w swoim pokoju widział drzemał, bo ani radio, ani telewizor nie były włączone. Pozostawało siedzieć i bawić gościa. A na to Marek nie miał ochoty. Na szczęście uratowała go teściowa. Wróciła ze szpitala. Postawiła siatki w przedpokoju i weszła do kuchni.

– Przeczysz – powiedziała do stryjskiego Władka – ale to trochę potrwało. Zaraz ci wszystko opowiem.

Marek skorzystał z okazji i szybko wyniósł się do swego pokoju. Jadwiga go nie zatrzymywała. Wolała ze szwagrem porozmawiać na osobności. Postawiła czajnik na gazie. Wyjęła ciasto z kredensu. Postawiła przed Władkiem.

– A może jesteś głodny?

– Nie, dziękuję. Zjem kawalek ciasta – powiedział szwagier i wziął spory kawałek ciasta. – Co on taki dziwny? – głową wskazał drzwi, za którymi przed chwilą zniknął Marek.

– Ten – Jadwiga wzruszyła ramionami. – Licho go wie. Ostatnio ciągle kłóci się z Anitą.

– Ich sprawa – Władek machnął ręką. – Mów, co u Henka.

– Przenieśli go już do Dużego Szpitala. Leży na trzecim piętrze. Andrzej dogadał się z profesorem Malagą i ten będzie go operował. To już na dniach. Chyba w przyszłym tygodniu. Profesor obiecał mi, że powiadomi na dwa, trzy dni wcześniej. Jest dobrej nadziei. Teraz przygotowuje organizm Henka do operacji. Mówi, że trzeba zrobić ostatek.

– A ty?

– Co ja?

– Czy ty też jesteś dobrej myśli?

– Tak. Modłę się, aby wszystko się udało i nie było komplikacji.

– Słuchaj Jadźko, ty się nie krepuj, jak potrzeba ci pieniędzy, to mów. U nas się nie przelewa, ale to mój brat. Wszystko, co trzeba, dam. Przywiozłem wam trochę mięsa, jajka, ser, kielbasę. Kielbasę jeszcze z wielkanocnego uboju, zaszuszoną, dobrą. Mięso od sąsiada, zdrowe. Powiedz, co jeszcze wam trzeba.

– Dziękuję – Jadwiga usiadła przy stole. – Dziękuję. To się przyda. Pieniądzy nie potrzeba. Wszystkim się zajęł Andrzej. On to bardzo przeżywa. Oni się z Henkiem ostatnimi czasami trochę kłócili. Ale teraz... – i nagle się rozplakała.

Cdn.

UKASZENIA

Jesli ktoś sądzi, że pchły są niemuzyczne, to popełnia niewybaczalny błąd. Na przykład ja bardzo lubię sobie nucić piosenkę: „Pan prokurator ma rację, mamy w Polsce demokrację”. A jeśli w naszym kraju, coś się nie udaje, to winne są pchelki, dziennikarze i filatelisci. Innych winowajców taktownie pomiję, choć jakiś czas buszowałam pod białiną pewnego docenta marcowego, dzięki czemu posiadam horyzonty i wiedzę polityczną.

Zaprzysiężona ze mną pchelka twierdzi, że prokurator to nie zawód, tylko mentalność. Taki człowiek musi posiadać wroga i ścigać go z mocy paragrafów, to po prostu służbowy obowiązek. Ostatnio głowy panów prokuratorów zaprzęta afera alkoholowa.

Pan prokurator ma rację

wa. Ktoś wyliczył, ile na przemyśle spirytusu stracił skarbnik państwa, goniono jakieś mityczne spółki, uszczelniono granice i naprawiono wadliwe przepisy, dając panom prokuratorom do ręki mocny oręż i pewność działania. Nie wszyscy jednak mieli takie szczęście jak dr praw Eugeniusz Sindlewski. Jest to dobry człowiek, długie lata występował przed sądami broniąc niewinnych albo bezradnych i został nawet dziekanem palestry. Widocznie jednak diabeł go podkusił i pan mecenas powrócił do zawodu, który uprawiał w młodości. To także dobrze o nim świadczy, gdyż przedłożył majestat funkcjonariusza państwowego nad pieniądze, jakie daje dobrze prosperująca kancelaria adwokacka.

Wrodzona dobroć prokuratora Sindlewskiego znalazła dość szybko nagrodę. Jest rzeczywiście szczęściarzem, skoro opatrność sprowadziła właśnie do Łodzi radziecką ciężarówkę wojskową pełną wybornego spirytusu „Royal”. Wprawdzie ja nie gustuję w takich trunkach, wolę inne płyny, ale ktoś liczy się ze zdaniem drobnej pchelki.

Pan prokurator Sindlewski miał szczęście dubeltowe, gdyż Ruscy wpadli w pułapkę. Nastąpiły jakieś konfiskaty, jakieś aresztowania. Mnie to cieszy, nie cierpię organicznie alkoholu.

Prokuratura łódzka słynie z tego, że niechętnie dzieli się swymi osiągnięciami z prasą. Tajemnice śledztwa skrywane są czasami tak bardzo, że cierpi na tym prestiż firmy, a sprawy zostają nie wykryte. Całe miasto huczało, gdy zamordowano bestialsko pewną dentystkę – dziennikarke, którzy chcieli dowiedzieć się czegoś o tym zdarzeniu byli zbywani sloganem, że trwa energiczne śledztwo a jego dobro wymaga milczenia.

Tajemniczą śledztwa okryta została także sprawa przemytu alkoholu. Pismacy i wstrętni pracownicy telewizji poradzili sobie w ten sposób, że wszczęli dochodzenie na własną rękę. Szalejąca reporterka TV Małgorzata Ziętkiewicz miała nawet czelność ogłosić swoje rewelacje na antenie. Ujawienie tak niezwyklej tajemnicy, gdy całe miasto trzęsło się od plotek, musiało spowodować ostrą reakcję prokuratury. Ja, biedna pchelka, pierwszy raz widziałam tak groźnego dra Sindlewskiego. Z jego wywodu zrozumiałam tylko jedno, że kto wsadza nos w nie swoje sprawy, ten naraża się na rok więzienia. Nieszczęsna pani Małgosia, a ktoś jej tam będzie nosił paczkę, gdy nawet były pierwszy sekretarz KŁ PZPR pan Józef Niewiadomski odciął się zdecydowanie od jakiegokolwiek z nią pokrewieństwa, czemu dobitnie dał wyraz w „Gazecie Łódzkiej”

Wystąpienie prokuratora Sindlewskiego spowodowało skutek odwrotny do zamierzonego. Dopieroż Łódź zatrzęsła się od ponownej fali plotek. Czy pan prokurator przejawiał inicjatywę samodzielnie, czy może działał zgodnie z jakąś instrukcją? Czy chodzi o jakieś konkrety, czy tylko o zastraszenie prasy.

Ja, pchelka, także nie lubię pismaków, ale nie cierpię, gdy się grozi kobietcie.

Od pewnego lokatora mansardy usłyszałam kiedyś, że zło jest rzeczą zbyt cenną, aby je marnotrawić. To samo odnosi się chyba do dziennikarzy. Straszanie dziennikarzy należałoby zostawić na jakąś inną, lepszą okazję.

Nie jest to zresztą aż tak strachliwy ludek. Nawet ja, mała pchelka, tak bardzo się nie boję i obiecuję częściej kasać pana prokuratora. Dla jego własnego dobra. Z drapania się mogą wynikać różne pożyteczne rzeczy.

Pchelka

W ciasnej poczekalni oddziału położniczego Bob Shane czuł lek przed zamknięciem. Pokój miał niski sufit, pokryty dźwiękochłonnymi płytkami, ponure zielone ściany i jedno zasłonięte okno. Było bardzo duszno. Sześć krzeseł i dwa stoliki zajmowały zbyt wiele miejsca na tej niedużej przestrzeni. Bob miał ochotę pchnąć dwuskrzydłowe drzwi wahadłowe, prowadzące na korytarz, przebiec szpital i główną poczekalnię i wyrwać się na zewnątrz, w zimną noc, wolną od zaduchu środków odkażających i choroby.

Siedział jednak dalej, aby być blisko Janet na wypadek, gdyby go potrzebowała. Coś się stało. Wiadomo, że porodowi towarzyszą bóle, ale przecież nie aż takie, jak dręczące Janet brutalne, przedłużające się skurcze. Lekarze nie chcieli przyznać, że pojawiły się jakieś poważniejsze komplikacje, ale ich zaferowanie było widoczne.

Bob zrozumiał, skąd wzięła się jego klaustrofobia. Nie bał się otaczających go ścian. To otaczała go śmierć, śmierć jego żony i nie narodzonego dziecka – lub ich obojga.

Wahadłowe drzwi otworzyły się i wszedł doktor Yamatta.

Podnosząc się z krzesła Bob potrząsnął stolik, zrzucając na podłogę kilka magazynów.

– Co z nią, doktorze?

– Nie gorzej – Yamatta był niskim, szczupłym mężczyzną o miłej twarzy i dużych, smutnych oczach. – Doktor Markwell zaraz tu będzie.

– Chyba nie czekacie na jego przyjazd, żeby się nią zająć?

– Nie, nie, oczywiście, że nie. Ma dobrą opiekę. Myślałem tylko, że to pana uspokoi, kiedy dowie się pan, że jej stały lekarz jest już w drodze.

– Aha. No, tak... dziękuję panu. Przepraszam czy można ją zobaczyć, doktorze?

– Jeszcze nie teraz – odpowiedział Yamatta.

– A kiedy?

– Kiedy minie... mmm... kryzys...

– O co tu chodzi? Minie kryzys?! Kiedy to, do cholery, się skończy?! – W tej samej chwili pożałował wybuchu. – Przepraszam, doktorze... Po prostu... boję się.

– Rozumiem, rozumiem...

Wewnętrzne drzwi łączyły garaż Markwella z resztą domu. Minęli kuchnię i weszli do hallu na parterze, zapalając po drodze światła. Z butów spadały im grudki topniejącego śniegu.

Uzbrojony mężczyzna spenetrował jadalnię, pokój dzienny, gabinet, i bez przyjąć i poczekalnię pacjentów; potem rzucił:

– Na górę.

W głównej sypialni nieznajomy zapalił jedną z lamp. Wziął wysokie, wyscielane krzesło, stojące przy toalecie, i przesunął je na środek pokoju.

– Doktorze, proszę zdjąć rękawiczki, płaszcz i szalik.

Markwell posłuchał go, zrzucając części ubrania na podłogę, i zgodnie z poleceniem usiadł na krześle.

Obcy odłożył pistolet na kredens i wyjął z kieszeni zwój długiej, mocnej linki. Sięgnął pod płaszcz i wyciągnął – niewątpliwie z zawieszzonej na pasie pochwy – nóż o szerokim ostrzu. Pociął linkę na kawałki, najwyraźniej po to, by przywiązać Markwella do krzesła.

Doktor wpatrywał się w leżący na kredensie pistolet, zastanawiając się nad szansą uchwycenia broni, zanim uczyniłby to bandyta. Gdy jednak jego wzrok napotkał spojrzenie lodowatych oczu obcego, zdał sobie sprawę, że tamten przejrzał jego plan, niczym dorosły przewidujący dziecięce podchody.

Mężczyzna o blond włosach uśmiechnął się, jakby chciał powiedzieć „No jazda, tylko spróbuj”.

Markwell chciał żyć. Kiedy napastnik krępował go całego od stóp do głów, poddawał się temu bez oporu.

Zaciskając węzły, obcy w niezwykle sposób troszczył się o swoją ofiarę.

– Nie chcę cię udusić. Jesteś pijany i ze szmatą w gębie możesz zacząć wymiotować i zadławisz się na śmierć. Zaryzykuję i trochę ci zaufam. Ale jeżeli zaczniesz wołać o pomoc, zabiję od razu. Zrozumiano?

– Tak.

Kiedy tamten wypowiedział dłuższe zdanie, w jego wymowie pojawił się obcy akcent, tak lekki, że Markwell nie był w stanie go zlokalizować. Skracanie końcówek i od czasu do czasu pobrzmiewające gardłowe dźwięki, ledwo dające się uchwycić.

Obcy usiadł na krawędzi łóżka i położył rękę na telefonie.

– Jaki jest numer szpitala okręgowego?

Markwell zamrugał.

– Co?

– Do cholery, pytam cię o numer. Jak mi go nie podasz, raczej wytrąsnę go z ciebie niż będę szukał po książce.

Markwell podał mu numer.

– „Kto ma dzisiaj dyżur?”

– Doktor Carlson. Herb Carlson.

– Czy jest dobry?

– O co ci chodzi?

– Czy jest lepszym lekarzem od ciebie, czy też jeszcze jednym pijaczyną?

– Nie jestem pijakiem. Mam...

– Jesteś nieodpowiedzialnym, zasmakowanym od użalania nad sobą, alkoholowym wrakiem – i wiesz o tym dobrze. Odpowiedz na pytanie, doktorze. Czy na Carlsonie można polegać?

Młodości, które nagle dopadły Markwella, tylko częściowo były rezultatem whisky, na którą sobie przedtem pozwolił; prawdziwą przyczyną było obrzydzenie w obliczu prawdy, odkrytej przez napastnika.

– Tak, Herb Carlson jest dobry. Jest świetnym lekarzem...

– Kto jest dyżurną pielęgniarką?

Markwell przez moment musiał się skupić. – Myślę, że Ella Hanlow. Nie jestem pewien. Jak nie Ella, to Virginia Keene.

Podmuch wiatru uderzył w dom, zagrzechał uchyloną okiennicą, zagwizdał pod okapem i Markwell przypomniał sobie, że burza trwa. Kiedy obserwował padający za oknem śnieg, znów poczuł się zgubiony. Ta noc obfitowała w tyle zdarzeń – piorun, nie dające się wytłumaczyć pojawienie się obcego – że nagle wszystko to wydało mu się nierealne. Naprężył się w krę-

Dean R. Koontz

GROM⁽²⁾

pujących go wieżach, pewien, że są tylko częścią pijackiego snu i rozerwą się jak pajęczyna, ale trzymały mocno, a wysilek spowodował, że znów zrobiło mu się niedobrze.

Obcy powiedział do słuchawki:

– Siostra Hanlow? Doktor Markwell nie będzie mógł zjawić się dziś w nocy w szpitalu. Jest tam u was jedna z jego pacjentek, Janet Shane, i ma trudny poród. Hmmmm? Tak, oczywiście. Chcę, żeby doktor Carlson zajął się przyjęciem dziecka. Nie, nie, obawiam się, że on nie da rady. Nie, to nie pogoda. Jest pijany. Tak, właśnie. Byłby zagrożeniem dla pacjentki... Nie... Jest tak pijany, że nie ma sensu oddawać mu słuchawki. Przepraszam. Ostatnio dużo pił, próbował to ukrywać, ale dziś wieczór jest z nim gorzej niż zwykle. Co? Jestem sąsiadem. W porządku. Dziękuję, siostra Hanlow. Do widzenia.

Markwell był wściekły, ale równocześnie czuł zdumiewającą ulgę, że jego tajemnica została ujawniona.

– Ty draniu, zrujnowałeś mnie.

– Nie, doktorze. Sam się pan zrujnował. To nienawiść do samego siebie zniszczyła panu karierę. I odepchnęła od pana żonę. Pana małżeństwo z pewnością rozpadło się, ale można było je uratować, jeśliby Lenny żył, a nawet dałoby się jeszcze je uratować, kiedy umarł, gdyby nie wycofał się pan tak kompletnie w głąb siebie.

Markwell był zdumiony.

– Skąd, do diabła, wie pan, jak to było ze mną i z Anną? I skąd pan wie o Lennym? Nigdy przedtem pana nie spotkałem. Skąd pan w ogóle coś o mnie wie?

Ignorując te pytania, obcy oparł dwie poduszki o wałek na łóżku. Przeniósł nogi w mokrych, zabłoconych butach na prześcieradło i wyciągnął się.

– Bez względu na to, jak pan to odbiera, strata syna nie była pańską winą. Jest pan tylko lekarzem, a nie cudotwórcą. Ale utrata Anny – to już był pański błąd. I to, że stał się pan wyraźnym zagrożeniem dla swoich pacjentów – to również pańska wina.

Markwell próbował protestować, ale wreszcie westchnął i zwiesił głowę na piersi.

– Wie pan, gdzie tkwi pański problem, doktorze?

– No, może pan mi to powie.

– Pańskim problemem jest to, że nigdy nie musiał pan o nic walczyć i że nigdy nie spotkał

się pan z przeciwnościami. Pana ojcu dobrze się powodziło, więc miał pan to, co chciał. Chodził pan do najlepszych szkół. I choć praktyka rozwijała się nieźle, nigdy nie potrzebował pan pieniędzy – odziedziczył pan spadek. Więc kiedy Lenny zaraził się Heine-Mediną, nie potrafił pan sobie poradzić z przeciwnikiem, bo nigdy z taką sytuacją nie miał pan do czynienia. Nie był pan zaszczepiony, a więc i nie uodporniony – i wpadł pan w prawdziwą rozpacz.

Podnosząc głowę i mrugając, aż wzrok mu się przejaśnił, Markwell powiedział:

– Nie mogę się w tym połapać.

– Dzięki tym wszystkim cierpieniom czegoś się pan nauczył, doktorze Markwell, i jeśli tylko będzie pan tak długo trzeźwy, żeby nie uciekać się do wykrętów, może zdoła pan wrócić na właściwą drogę. Ciągłe ma pan jeszcze wątpliwość na odkupienie swoich błędów.

– Może nie pragnę odkupienia.

– Obawiam się, że to może być prawda. Myślę, że boi się pan umrzeć, ale nie wiem, czy ma pan wystarczająco dużo siły, żeby żyć.

Oddech lekarza był gorzki od miętówek i od whisky. Miał sucho w ustach i zeszytywniały język. Marzył o kieliszku.

Bez przekonania próbował poruszyć rękoma, przywiązany do krzesła. W końcu, czując wstręt do tonu samoużalania się we własnym głosie, ale nie mogąc zdobyć się na zachowanie godności, spytał:

– Czego pan ode mnie chce?

– Chcę powstrzymać pana przed udaniem się dziś w nocy do szpitala. Chcę mieć tę cholerną pewność, że nie będzie pan przyjmował dziecka Janet Shane. Stał się pan rzeźnikiem, potencjalnym zabójcą i trzeba pana na czas powstrzymać.

Markwell oblizał suche wargi.

– Ciągłe nie wiem, kim pan jest.

– I nigdy się pan nie dowie, doktorze. Nigdy się pan nie dowie.

Bob Shane nigdy jeszcze tak się nie bał. Powstrzymał się od płaczu z przesądnej wiary, że otwarte okazanie lęku byłoby kuszeniem losu i sprowadziłoby śmierć na Janet i dziecko.

Pochylił się na krześle, skłonił jeszcze bardziej głowę i modlił się w milczeniu: „Panie Boże, Janet mogła trafić na lepszego ode mnie. Ona jest śliczna, a ja prosiuch. Jestem tylko właścicielem małego narożnego sklepu, który nigdy nie będzie miał dużych obrotów, ale ona mnie kocha. Panie, ona jest tak dobra, uczciwa, skromna... nie zasługuje na to, żeby umrzeć. Może Ty zapragnąłeś wziąć ją do siebie, bo już w swojej dobroci dojrzała do nieba. Ale ja jeszcze nie dojrzałem i bez jej pomocy nigdy nie stanę się lepszy”.

Jedno ze skrzydeł poczekalni otworzyło się.

Bob podniósł głowę.

Doktorzy Carlson i Yamatta wkroczyli w swoich zielonych, szpitalnych fartuchach.

Ich widok tak wystraszył Boba, że powoli wstał z krzesła.

Oczy Yamatty były jeszcze smutniejsze niż zwykle.

Carlson był wysokim, dostojeście wyglądającym mężczyzną, któremu udawało się zachować godną postawę nawet w obwisłym, szpitalnym stroju.

– Panie Shane... przykro mi. Przykro mi... ale pańska żona zmarła podczas porodu.

Bob stał bez ruchu, tak jakby te straszne słowa zmieniły go w kamień. Z tego, co mówił Carlson, docierały do niego tylko strzępy:

– ...Poważne kłopoty z pracą macicy... jedna z tych kobiet, których budowa w istocie wyklucza poród. Nigdy nie powinna zająć w ciąży. Przykro mi... tak żałuję... wszystko, na co było nas stać... ale dziecko...

Słowo „dziecko” wytrąciło Boba z paraliżu. Zrobił chwytliwy krok w kierunku Carlsona.

– Co pan powiedział o dziecku?

– To dziewczynka – powiedział Carlson. – Zdrowa, mała dziewczynka.

Jeszcze przed chwilą Bob myślał, że wszystko stracone. Teraz wpatrywał się w Carlsona, myśląc z kielkującą nadzieją, że jakaś część Janet nie umarła i że jednak nie został całkowicie sam na świecie.

– Naprawdę? Dziewczynka?

– Tak – powiedział Carlson. – Wyjątkowo śliczne maleństwo. Urodziła się z gęstą, ciemnobrązową czuprynką.

Patrząc na Yamattę, Bob odezwał się.

– Moje dziecko żyje.

– Tak – powiedział Yamatta. Wyrazisty uśmiech szybko przemknął mu po twarzy. – I zadowolona pan to doktorowi Carlsonowi. Obawiam się, że pani Shane nie miała żadnych szans. W mniej doświadczonych rękach dziecko również mogłoby nie przeżyć.

Bob odwrócił się do Carlsona, ciągle lekając się uwierzyć w to, czego się dowiedział.

– Moje... dziecko żyje i to jest jakaś pociecha, prawda?

Lekarze stali w dziwnym milczeniu. Potem Yamatta położył dłoń na ramieniu Boba Shane. Jakby czuł, że taki kontakt z drugim człowiekiem przyniesie tamtemu pocieszenie.

Bob był o pięć cali wyższy i o czterdzieści funtów cięższy niż filigranowy lekarz. Ale to on potrzebował wsparcia. Płakał, złamany smutkiem, a Yamatta obejmował go.

Cdn.